№ 5 Warszawa, dnia 19 (31) Stycznia roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

TEATR U GREKÓW.

przez E. B.

Ojczyzną teatru jest Grecya, klasyczna ziemia poezyi i sztuki, których pozostawiła nam nieśmiertelne wzory. Lecz Grecya nie stanowiła jednej wielkiej i potężnej całości: rozstrzelona na mnóstwo drobnych państewek, zjednoczonych węzłem wspólnego języka i religijno społecznych instytucyi, przedstawiała mnogie a różnolite, niekiedy nawet sprzeczne sobie żywioły. Z tych licznych państewek Ateny dosięgły najwyższego szczytu duchowego i politycznego rozwoju. Nic więc dziwnego, że Ateny stały się ojczyzną dramatu który w dziale poezyi najwyższy jej szczebel zajmuje.

Podział poezyi na trzy wielkie rodzaje: epos, lirykę i dramat, oparty jest nietylko na powierzchownych cechach ale także na historycznym jej rozwoju, który odpowiada historyi rozwijania się tak pojedyńczego człowieka jak i całych narodów.

Gdy człowiek wychodząc z dzieciństwa czuć i myśléć zaczyna, to najpierwej uderza świeży a wrażliwy umysł jego zewnętrzne otoczenie. Nie umie on zastanawiać się, nie jest w stanie zdać sobie sprawy ze swych myśli i uczuć, jedynym objawem jego wrażeń jest szczery a naiwny okrzyk zdumienia i podziwu. Podobnie i ludy w pierwotnej epoce swego istnienia żyją jak dzieci wrażeniami z zewnątrz. Wielkość i wspaniałość przyrody, jej malownicze widoki i zdumiewające zjawiska, czyny bohaterskiej siły i odwagi,—oto co przedewszystkiem działa na ich wyobraźnię, absorbuje wszystkie władze ich duszy i daje początek poezyi epicznej czyli opisowej.

Dziecko wyrasta w młodzieńca. W sercu jego budzą się nieznane przedtem pragnienia i żądze, wstrząsają niem silne uczucia, a chociaż świat zewnętrzny nie przestaje go interesować, to jednak głównie ze względu na związek, w jakim tenże z wewnętrzną treścią jego istoty pozostaje. Wiek więc młodzieńczy jest wiekiem poezyi lirycznej, której przedmiotem wewnętrzny świat uczuć i myśli.

Dramat odpowiada epoce dojrzałości. Gdy człowiek rozumem zapanuje nad wzburzonem morzem namiętności, rozwagą, potrafi zapędy gorącej wyobraźni miarkować, a uczucia do pożądanej doprowadzi równowagi, — wtedy staje się mężem dojrzałym. Jestto najwyższy szczyt jego duchowego rozwoju. Wszystkie władze jego duszy skupiają się w jedno ognisko, i potęgując się wzajemnie tym jaśniejszym gorej płomieniem. Przestaje on wtedy ścigać mgliste i nieokreślone mary, natomiast uczuwa silną i nieprzepartą żądzę wcielenia w czyn marzeń i ideałów młodości. Dopiero ludy, które dosięgły tej epoki rozwoju, tworzą dramat, będący właściwie zidealizowaniem czynu, a zatem najpóźniejszym a zarazem najwspanialszym kwiatem ducha ludzkiego.

Dramat powstał i rozwinął się w Atenach, a przyczynę tego odnajdziemy w położeniu geograficznem i warunkach przyrodzonych tego niewielkiego lecz ważnego w dziejach kraiku. Attyka była krajem ubogim i skalistym, więc też mieszkańcy podobnie jak Fenicyanie zawczasu zwrócili uwagę na morze, które ich oblewało z trzech stron, i wyżłobiło brzegi w liczne odnogi, odgrywające role arteryi rozprowadzających soki żywotne po całym organizmie. Niewielki stosunkowo obszar zdatnej pod uprawę gleby, nie przedstawiał mieszkańcom dostatecznych środków wyżywienia, od najdawniejszych przeto czasów zwrócili się oni do handlu i przemysłu. Klimat ciepły i łagodny nie dokuczał ani ostremi mrozami północy, ani skwarami krajów międzyzwrotnikowych. Nie znano tu wcale owych przerażających zjawisk natury, wiszących wieczną groźbą niebezpieczeństwa nad głową człowieka i budzących w piersi jego tajemny przesąd i trwogę, zkąd wyradza się naturalnym porządkiem rzeczy charakter kontemplacyjny, zamknięty w sobie, posępny, bo czyż może być inaczej tam, gdzie człowiek niepewny swego życia, czuje się wątłą igraszką w ręku nadprzyrodzonych potęg? I tutaj przyroda wywierała ogromny wpływ na człowieka, ale wpływ ten był całkiem dodatni, orzeźwiający. Pełne poetycznego wdzięku widoki natury nie budziły grozy i przestrachu, przeciwnie, kształciły wrodzone poczucie piękna i budziły w sercach miłe i podniosłe uczucia. Grek usposobiony łagodnością klimatu do spędzania większej części swego życia pod gołem niebem, zaludnił całą naturę fantastycznem światem swych bogów, który przemawiał doń w błysku pioruna, w promieniu słońca, w barwach tęczy, w szmerze strumienia, w szumie wiatru i ryku fal morskich. Bogów tych jednak nie postaciował sobie jako istoty olbrzymiej wielkości i kształtów potwornych, jak to inne ludy czyniły; przeciwnie, wystawiał on ich sobie, jako zupełnie podobnych do siebie, udarowanych tylko większą siłą fizyczną; nadawał im także swoje własne do wyższej tylko podniesione potęgi, cnoty, wady, namiętności, występki nawet. Ogólnie jednak biorąc były to istoty dobroczynne i łagodne, lubiące wspierać śmiertelnych życzliwą radą i pomocą.

Nie dziw więc, że wśród tak przyjaznych warunków, pod niebem tak pogodnem i jasnem, charakter mieszkańców był także pogodny, wesoły, ruchliwy, że cechowały go: zamiłowanie swobody, wrodzone poczucie piękna, energia i zdolność patrzenia na życie z jego pięknej i poetycznej strony.

Zresztą piękność położenia i łagodność klimatu dzieliła Attyka z innemi państwami Grecyi; wyższość jej stanowiło ustronne położenie na boku wiel-

kiej drogi z północy do Peloponezu przez przesmyk Koryncki prowadzącej, sąsiedztwo morza i blizkość Małej Azyi, jakoteż pięknych wysp Archipelagu: Eubei, Salaminy, Eginy, Samos; Lesbos, Chios, Cypru, Krety. Ustronne położenie ściągało do Attyki licznych wychodźców z Peloponezu, ustępujących przed najazdem dzikich plemion z północy, podobnież brzegi mało-azyatyckie i wyspy zaopatrywały nieustannie ten kraik coraz nowym napływem cudzoziemców.

Jak wyżej wspomnieliśmy, handel i przemysł były głównem źródłem utrzymania dla Ateńczyków, morze więc było ich opatrznością, i wkrótce Attyka stała się panią mórz, tak jak Sparta była panią Grecyi lądowej. Z samej natury rzeczy wynikało, że gromadziły się tu ciągle najrozmaitsze żywioły których wzajemne ścieranie się niemało wpływać musiało na umysłowy rozwój mieszkańców. Wkrótce też Ateny stały się ogniskiem cywilizacyi, której promienie daleko sięgały i stały się pierwszym blaskiem oświecającym pogrążone w ciemności ludy zachodu. Ten ostatni wzgląd był jednym z najważniejszych powodów ściągających do Aten tłumy cudzoziemców, którzy przybywali tu nietylko z handlowych i politycznych pobudek, ale zarazem aby zaczerpnąć światła dla umysłu i wykształcić smak na arcydziełach sztuki, zdobiących piękny gród Pallady. Zastanowiwszy się nad stanowiskiem Aten i okolicznościami towarzyszącemi ich wzrostowi, łatwo nam przyjdzie wyobrazić sobie, jak wartkiem korytem płynęło tam życie, czynne, ruchliwe, ożywione, wesołe i gwarne. Dlatego też w czasie wojen perskich, gdy nadwątlona już i zniewieściała cywilizacya azyatycka, wytężyła ostatnie swe choć potężne jeszcze siły, grożąc zagładą młodej cywilizacyi greckiej, Ateny rozwinęły największy zapas sił i energii do bohaterskiego oporu w celu jej obrony. To nam tłomaczy, że Ateny stały się ojczyzną dramatu, i że epoka wojen perskich stała się epoką najświetniejszego tego rozkwitu.

Pierwsze początki sztuki dramatycznej u Ateńczyków odnoszą się do epoki tyrana Tizystrata, który obalił Solonową rzeczpospolitę, opartą na równowadze wszystkich klas społecznych Pizystrat wzniósł się przy pomocy żywiołu ludowego (Demos) i przywłaszczył sobie władzę samodzielną której używał w celu rozwinięcia oświaty i piśmiennictwa. Było to obyczajem wszystkich tyranów greckich, że prowadzili oni dwór świetny i okazały, protegowali poetów i artystów, wznosili pyszne gmachy, wyprawiali sute igrzyska i wspaniałe religijno-narodowe uroczystości, gdyż to wszystko otaczało ich pełną uroku aureolą w oczach ludu, na którym się ich potęga wspierała.

Za rządów Pizystrata niejaki Thespis z Ikarii dał początek przedstawieniom dramatycznym. Od najdawnieszych czasów było we zwyczaju, że w czasie uroczystości Dyonizosa (Bachusa) śpiewano na cześć tego boga pieśń pochwalną, opiewającą jego przygody. Chór śpiewający tańczył naokoło ołtarza, na którym zabijano na ofiarę kozła; ponieważ zaś kozioł zwał się u Greków tragos, ztąd więc powstała nazwa tej pieśni tragedya. Thespis przekształcił tę tragedyą w ten sposób że brał pojedyńczy ustęp z historyi Bachusa i przedstawiał go na scenie w odpowiedniej akcyi. Później wprowadził jeszcze tę nowość. że zaczął czerpać treść do swoich przedstawień i z innych źródeł, nietylko z życia Bachusa. Świadczą o tem doszłe do nas tytuły jego utworów: Masta i Adrastes.

Takim był początek dramatu, który kształcąc się i udoskonalając z biegiem czasu, stał się w końcu wyrazem najwyższej działalności duchowej Hellenów.

Teatr u Greków był instytucyą narodowo-religijną na cześć Bachusa. Cztery razy do roku, w czasie wiosennych i zimowych świąt tego boga, odbywały się przedstawienia dramatyczne. Trwały one kilka dni dopóki nie wyczerpał się zapas nowych sztuk, gdyż nigdy nie powtarzano tych samych. Pięciu sędziów umyślnie w tym celu wybranych, oceniało przedstawione sobie tragedye i przysądzało najlepszej wieniec laurowy! Przedstawienie rozpoczynało się rano a kończyło wieczorem przy blasku pochodni; składało się zwykle z trzech tragedyi i jednego komedyo dramatu zwanego satyrem. Cały lud brał udział w tej uroczystej uczcie duchowej; skarb państwa uiszczał opłatę za najuboższych obywateli. Gdy zważymy wielką ilość cudzoziemców napływających bezustannie do Aten, łatwo nam uwierzyć przyjdzie, że kilkadziesiąt tysięcy śledziło zwykle z natężonem wzruszeniem za przebiegiem wspaniałej akcyi rozwijającej się na scenie. Przedstawienia odbywały się pod gołem niebem, przerywano je wrazie deszczu lub burzy i chroniono się do portyków otaczających w około gmach teatralny. Widzowie zasiadali w obszernem półkolu, na ławach wznoszących się coraz wyżej w kształcie amfiteatru. W środku tego półkola znajdowało się podobnie jak u nas miejsce zwane orkiestrą. Tam stawał zwykle chór wchodzący nieodbicie do każdej tragedyi greckiej; przewodniczyli mu niekiedy najmożniejsi obywatele ateńscy, którzy go swoim kosztem obsadzali i przybierali. Była to pobożna ofiara dla bogów, a także sposobność popisania się bogactwem, elegancyą i wytwornym smakiem. Za orkiestrą wznosiła się na podwyższeniu scena, której dekoracye przedstawiały zwykle jakiś pałac lub świątynię, miasto po lewej stronie, po prawej krajobraz, góry lasy i morze. Ukryte pod amfiteatrem schody zwane Charońskiemi, służyły do wnijścia cieniów zmarłych. które dostawały się niepostrzeżenie od widzów do orkiestry, a ztamtąd na scenę. Kurtyna nie podnosiła się jak u nas, lecz ściągana była z góry na dół i znikała przez umyślnie ku temu sporządzoną szparę. Po skończonem przedstawieniu wciągano ją napowrót do góry. Ponieważ w tragedyach występowały zwykle postacie bogów i bohaterów, więc aktorowie starali się nadać sobie ogromne rozmiary, występowali w sztucznych maskach opatrzonych przyrządem do sztucznego wzmocnienia głosu, i nosili koturny, to jest obuwie na grubych bardzo podeszwach dla podwyższenia wzrostu.

Tragedya grecka dostąpiła szczytu w utworach trzech wielkich mistrzów: Eschylesa, Sofoklesa i Eurypidesa. Historya grupuje ich w około dnia bitwy pod Salaminą w ten sposób, że Eschyles walczył w niej jako mąż czterdziesto pięcioletni, Sofokles, mający lat piętnaście brał udział w tańcach wyprawianych w czasie uroczystości na cześć tego zwycięztwa, a Eurypides ujrzał w tymże dniu światło dzienne na wyspie Salaminie. Żyli więc wszyscy trzej w najświetniejszej epoce historyi, kiedy Grecy upojeni chwałą zwycięztwa, dumni wolnością, którą kosztem tylu bohaterskich wysileń obronili, doszli do najwyższego stopnia poczucia i samowiedzy narodowej. Geniusz ich zabłysnął wtedy w całej swej sile i uwiecznił się na zawsze w nieśmiertelnych dziełach poezyi i sztuki. Jednakże w utworach trzech kolejno po sobie następujących poetów, nie trudno jest dopatrzeć różnicę zachodzącą w ich przekonaniach i poglądach na świat i życie, a różnica ta musiała być wiernem odzwierciedleniem kolejnych zmian w charakterze narodowym. Surowy, głęboko religijny, wielki w swej prostocie Eschiles, jest pełen gorącej wiary i szczerego zapału, przedstawia najczęściej postacie bogów i półbogów, wierzy w wyższy porządek świata, w nieubłagane przeznaczenie, które jest zresztą narzędziem wyższej sprawiedliwości. Harmonijny, mistrzowsko pewny siebie Sofokles, przedstawia już późniejszy okres tej samej epoki, kiedy dawna wiara istnieje jeszcze lecz już słabnąć zaczyna, owo wrażenie grozy i czci, przed niewidzialną potęgą wyższych istot kierujących samowolnie losami śmiertelnych. Sofokles też lubuje się w przedstawianiu postaci idealnych wprawdzie, ale już zupełnie ludzkich i naturalnych. U Eurypidesa zaś żyjącego w epoce chylenia się Aten ku upadkowi, przemaga już żywioł filozoficzny, przyjmujący z krytycznem powątpiewaniem dawne tradycye religiine; bogowie ukazują się w jego tragedyach dlatego tylko, że wymaga tego poetyczna inwencya autora. Siła namiętności, nie żadna wyższa potęga, jest podług niego sprężyną czynów ludzkich.

Eschiles urodził się w 525 r. w Eleuris, w Attyce, gdzie była świątynia Cerery. Wielkiego tego poetę nazwali Ateńczycy ojcem tragedyi, wiemy już, że nazwa ta nie była właściwą, bo przedstawienią dramatyczne istniały już oddawna, były to jeszcze słabe próby, które Eschyles przekształcił, udoskonalił i ożywił potężnem tchnieniem swego geniuszu. Bracia poety wsławili się walecznością w wojnach perskich, on sam potykał się mężnie pod Maratonem, Salaminą i Plateą. Słynął też u swoich współziomków surową, nieskażoną cnotą, głęboką religijnością i uczuciami prawego obywatela. Prawdopodobnie więcej się szczycił męztwem na polu boju okazanem, niż tryumfami dramatycznemi bo będąc ranny pod Maratonem i przewidując możliwy wypadek śmierci, taki sam sobie napisał nagrobek: „Tu spoczywa Eschyles, syn Fuforiona, rodem Ateńczyk. Słynne lasy Maratońskie i Med długowłosy, niechaj powiedzą czy był walecznym. Dobrze go znają.“

Szacunek jednak jaki mieli ziomkowie dla prawego obywatela i mężnego żołnierza, wzrósł do czci i uwielbienia, gdy dał im się poznać ze swych wzniosłych utworów. Każdy jednak człowiek, jeźli przerasta ogół geniuszem cnotą, lub stanowiskiem społecznem, ma swoich nieprzyjaciół. Eschyles oskarżony został o sprofanowanie obrzędów religijnych. a chociaż brat w świetnej mowie obronił go od niesłusznego zarzutu, oburzony jednak takiem posądzeniem poeta opuścił Ateny i przebywał na dworze tyrana Hierona w Syrakuzach. Tam przedstawił na scenie swoje tragedye i napisał kilka nowych, lecz dręczony tęsknotą za ojczyzną powrócił do Aten, Pobyt w kraju, tem milszy dlań, że był jego widoku pozbawionym przez czas niejaki, podwoił działalność jego geniuszu. Napisał ogółem 87 tragedyi z których większa część zaginęła. Z pozostałych jednak wnosić należy, że żadna z nich nie stanowiła całości sama w sobie, lecz każda była częścią trylogii, składającej się z trzech oddzielnych sztuk. Taka trylogia, uzupełniona komedyo-dramatem zwała się tetralogią.

Eschyles przeżył jednak swoją epokę, Dawne wyobrażenia i pojęcia ustąpiły miejsca nowym, inne prądy zaczęły nurtować społeczeństwo, a genialny poeta, zwolennik dawnej prostoty i surowego obyczaju czasów Maratońskich, znalazł się w rozstroju z młodem pokoleniem, któremu więcej już przypadał do smaku bardziej doń charakterem i wyobrażeniami zbliżony Sofokles. To może było powodem, że przy końcu życia opuścił ojczyznę i ostatnie dni swoje przepędził w samotnem ustroniu na wyspie Sycylii. Podanie mówi, że orzeł szybujący w powietrzu upuścił ze szponów żółwia, który roztrzaskał czaszkę dumającego wśród skał poety w r. 456 przed n. Chr.

Z licznych utworów Eschylesa doszły do nas: trylogia Oresteja składająca się z trzech dramatów: Agamemnon, Choefory i Eumenidy, a także cztery tragedye oderwane: Prometeusz przykuty do skały, Persowie, Siedmiu pod Tebami i Błagalnice. Z innych pozostały zaledwie nieliczne ustępy.

(d. c. n.)

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Rozdział IV.

Niepospolita piękność Eugenii, zwróciła ogólną uwagę młodych paniczów, mieszkających tak wmiasteczku E...... jakoteż i w jego okolicach. Nie zbywało na ochotnikach, gotowych przepędzić znaczną część poranku lub wieczora, na drodze wiodącej do zamku Verriéres, aby chociaż popatrzyć na postawę pełną godności i śliczną twarz przechodzącej panienki. Wszelkie jednak usiłowania, zmierzające do zawiązania z nią bliższego stosunku znajomości, były zupełnie daremnemi. Eugenia nie ośmieliwszy nigdy najmniejszem spojrzeniem licznych swoich wielbicieli, umiała wzbudzić w nich mimowolne poszanowanie: to też długi czas nie mieli odwagi przybrać śmielszej postawy.

Nie mogąc jednak, że się tak wyrazimy, wręcz, postanowili w sposób uboczny, pozyskać serce dumnej piękności. Nasyłali jej więc wspaniałe bukiety kwiatów, a nawet rozmaite podarunki złote, używane zazwyczaj dla podwyższenia blasku niewieścich wdzięków.

Wyrachowanie jednak młodych roztrzepańców okazało się mylnem, bo jeden z dzienników wychodzących w miasteczku E....... ogłosił zawiadomienie następujące:

„Jedna z osób mieszkających w okolicach E....... otrzymała w ostatnich czasach, ze źródła sobie niewiadomego, bukiety uwite ze świeżych kwiatów i różne przedmioty złote: jak kolczyki, pierścienie, brosze, etc.

Powiadamiamy przeto niewiadomych dawców, że bukiety odesłane zostały do kościoła Panny Maryi dla przyozdobienia głównego ołtarza, a klejnociki złote są złożone u miejscowego komisarza policyi, gdzie prawi właściciele mogą odebrać takowe, od godziny 9 rano do 4 po południu. Jeżeliby w ciągu trzech miesięcy nikt się nie zgłosił w tym celu, w takim razie przedmioty wymienione, będą sprzedane na korzyść miejscowego szpitala.“

Czyn podobny ostudził nadzwyczajnie zapał licznych wielbicieli Eugenii, postanowili więc zaniechać dalszych usiłowań jako daremnych, narażających tylko na bezpotrzebną stratę czasu.

Bohaterka nasza zostawiona czas jakiś w pokoju była z tego względu nadzwyczajnie uradowaną, sądząc że młodzież miejscowa zapomniała o niej zupełnie. Nadzieja ta była zwodna, bo w tym razie piękność jej, miała być źródłem prawdziwego dla niej utrapienia.

Przybyli bowiem nowi ochotnicy chcący popróbować szczęścia, a nawet wrócili niektórzy dawniejsi wielbiciele, w zamiarze ponowienia usiłowań, chociaż takowe raz już odrzucone były z pogardą.

Trzebaby zapisać wiele papieru, aby wskazać środki i wybiegi przez nich używane, ale zaiste przedmiot tak nędzny nie wart podobnego zachodu; wskażemy przeto jedynie zajścia, mające ścisły związek z dalszym ciągiem naszego opowiadania.

Pewnego wieczora letniego, Eugenia wracając wcześniej niż zazwyczaj, spotkała na drodze młodzieńca odznaczającego się elegancką postawą i strojem. Złożył on jej grzeczny ukłon pytając swobodnie: czy czasem panienka nie pozwoliłaby się odprowadzić?

— Ten dowód łaski i zaufania, dodał, uszczęśliwiłby mnie nadzwyczajnie: pod wpływem doznanej radości uczyniłbym rozmowę zajmującą; droga więc wydałaby się krótką, a zachowaniem pełnem poszanowania, zostawiłbym po sobie najlepsze wspomnienie.

Szczególnym zbiegiem okoliczności Eugenia znała tego młodzieńca z widzenia; jakoteż wiedziała jego nazwisko, bo był kilka razy w magazynie ze swojemi kuzynkami; gdzie postawą dorodną i świetnem ułożeniem, zwrócił na siebie ogólną uwagę pracujących panien.

Był to Józef d'Avesnes, należący do pierwszorzędnego towarzystwa paryzkiego.

Eugenia słysząc podobne przedstawienie, zarumieniła się z gniewu i oburzenia, a nie odpowiedziawszy ani słowa, przyspieszyła tylko kroku, przechodząc na drugą stronę drogi.

Odpowiedź chociaż niema była znaczącą; młody jednak człowiek należał widocznie do junaków, niełatwo ulegających zrażeniu. Zamiast więc zostać na miejscu lub odejść, począł iść prędzej, a stanąwszy powtórnie obok Eugenii rzekł:

— Na całym świecie milczenie jest zezwoleniem, zawdzięczając przeto doznaną łaskę, zrobioną z mej strony obietnicę zabawienia pani, postaram się wypełnić o ile możności najdokładniej.

Eugenia przystanęła nagle, spojrzawszy na mówiącego z takim wyrazem osobistej godności, że młodzieniec nie mogąc wytrzymać siły wzroku, spuścił pomimo woli oczy ku ziemi.

— Podobnego rodzaju obrazy, spotkały mnie już kilkakrotnie, rzekła głosem pełnym żalu i boleści. Sprawiły mi one wiele przykrości, ale nie dziwiły mnie...

Dzisiejsze zajście jest dla mnie tem dotkliwszem, że pan d'Avesnes, o którym z wielu ust słyszałam jak najlepiej, wyrządził mi zniewagę, bez najmniejszej przyczyny z mej strony. Niech mi pan powie otwarcie, czem zasłużyłam na jego lekceważenie. Ach! prawdopodobnie ubóstwem mojem i należeniem do rzędu pracujących kobiet. Zapłata jednak jaką pobieram, wystarcza na moje utrzymanie; nie potrzebuję niczyjej łaski, a temsamem mam prawo wymagać od świata, jeżeli nie szacunku, to przynajmniej abym była wolną od lekceważenia i zniewag.

Przemowa ta chociaż była wypowiedzianą przez Eugenię głosem łzawym, ale wolnym od gniewu lub pychy, prostota wyrażeń i łagodny dźwięk głosu czyniły tem większe wrażenie.

Młodzieniec był zawstydzonym nadzwyczajnie, bo chociaż dopuścił się czynu płochego, ale serce jego nie było zepsutem; umiał przeto uszanować kobietę, skoro ta zachowaniem swem, potrafiła wzbudzić podobnego rodzaju współczucie. Nazwany po imieniu, doznał tem większego upokorzenia, ponieważ zaczepianie kobiet na drodze publicznej, było wcale nie odpowiedniem do jego stanowiska, w wyższych kołach towarzyskich. Ubliżenie więc zacnej rozumnej i dobrze wychowanej panience, było tem szpetniejszem w jego oczach. Chcąc więc o ile możności zmniejszyć swą winę, zdjął kapelusz i z odkrytą głową przemówił w te słowa:

— Uznaję jak najszczerzej niewłaściwość mego postępku prosząc pokornie o wybaczenie chwilowego zapomnienia. Radbym bardzo, aby z historyi mego życia, można było wykreślić czyn tak nędzny, ubliżający zarówno pani, jak i mnie samemu. Niestety niepodobna tego uczynić, ale wedle nauki kościoła zadość uczynienie zmywa winę, byłbym zatem bardzo szczęśliwy mogąc dać dowód głębokiego żalu a zarazem największego szacunku, jaki w tej chwili powziąłem dla pani

— Gotowa jestem korzystać z pańskiego oświadczenia, rzekła Eugenia po krótkiej chwili milczenia, wybaczę, powiem więcej, zapomnę o dzisiejszém zajściu ale pod dwoma warunkami

— Naprzód je przyjmuję, odpowiedział młodzieniec, z wyrazem twarzy objawiającym silne z jego strony postanowienie.

— Otóż prosiłabym pana najprzód, rzekła Eugenia — aby dzisiejsza rozmowa była ostatnią.

— Chociaż z odmiennych pobudek od dawniejszych, rzekł d'Avesnes, ale żądanie pani robi mi wiele przykrości, pomimo tego spełnię je jak najściślej. Jakież drugie żądanie?

— Drugi warunek, mówiła Eugenia jakby z pewnem wahaniem, zrobi panu więcej kłopotu. Stawiam go jedynie, jako ośmielona przez pana. Zna pan wielu młodych ludzi, z których może niejeden nie domyśla się, ile mi robi przykrości przez ustawiczne zaczepki, otóż czyby pan nie był łaskaw użyć swego wpływu, aby nareszcie zostawili mnie w pokoju.

— Niech mi pani wierzy, odpowiedział d'Avesnes, że drugi warunek, będzie dla mnie z wielu względów łatwiejszym do spełnienia, aniżeli pierwszy. Będą one jednak dla mnie prawem niezłomnem.

Rzeczywiście od tego czasu Eugenia była mniej zaczepianą przez ulicznych swoich wielbicieli.

Przedstawienia d'Avesn'a nie zostały bez wpływu na młodzież okoliczną, zaniechali przeto daremnych wycieczek wieczorowych; wielu jednak przechowało jak najszczerszy szacunek dla ubogiej lecz zacnej panienki, choć więc z daleka witali ją ukłonami pełnemi uszanowania. Eugenia była nadzwyczajnie uradowana z niespodzianych następstw wypadkowego spotkania, czas bowiem jakiś, z zupełnym pokojem mogła uskuteczniać zwykłe swoje przechadzki, do miasta i z miasta.

Nadzieje jej po raz wtóry zostały zawiedzione, bo zjawił się nowy wielbiciel, niebezpieczniejszy od wszystkich dotychczasowych razem zebranych. Był to niejaki Karol Pigrenier, zaliczany do bogatszych właścicieli okolicznych. Syn dorobkiewicza, nie odebrał ani starannego wychowania, ani odpowiedniej edukacyi, ale przetarłszy się trochę w świecie nadrabiał śmiałością, posuniętą czasem do bezczelności w tem przekonaniu, że posiadane złoto pokrywa wszelkie niedostatki moralne, dając mu prawo w świecie do stanowiska pierwszorzędnego. Nie rozwijając ani umysłu ani serca, pojmował życie jedynie ze strony zmysłowej, a wartość człowieka czynił zawisłą od ilości posiadanego dochodu.

Ze względu na znaczny majątek, sądził że ma wszelkie prawo zostawania w stosunkach z młodzieżą okoliczną, stojącą na świeczniku z powodu stosunków rodzinnych, majątku i wychowania.

W tej mierze jednak nie doznawał wielkiego powodzenia, bo i źródło jego bogactwa nie było czystem, a i sama osoba nie bardzo zachwycająca.

Znoszono go więc w gronie młodych elegantów, ale tylko znoszono, dając często uczuć, że był zawsze uważanym za intruza.

Bolało go nadzwyczajnie więcej niż chłodne obej-

ście rówienników, wytaczał więc skargi przed swoim przyjacielem John Waksfeldem, prosząc o wskazówki do pozyskania prawa obywatelstwa w gronie paniczów odpowiedniego majątku.

John Waksfeld mienił się być Amerykaninem z Kanady, pochodzenia francuzkiego. Podróżował on, przynajmniej jak utrzymywał, dla własnej przyjemności po wszystkich częściach kuli ziemskiej. Przybierał zawsze postawę wielkiego pana, przechwalając się ze swoich stosunków z ministrami, ambasadorami i innemi osobami odpowiedniego znaczenia.

Zachowaniem dumnem, pogardliwym wyrazem twarzy, bajecznemi opowiadaniami, znajomością wielu języków, bo mówił nawet po polsku i turecku, czynił silne wrażenie na biednej głowinie Karola Pigrenier. Uważał on za prawdziwy zaszczyt dla siebie, utrzymywanie stosunków z człowiekiem tak niepospolitym, bywającym nawet na pokojach królewskich, mimo pochodzenia republikańskiego.

Z całem więc zaufaniem prosił Waksfelda o radę, przyrzekając do takowej zastosować się jak najściślej.

Szanowny Amerykanin, powołany na stanowisko mentora, udzielił chętnie Karolowi Pigrenier odpowiednie wskazówki. Sprowadzić je można do dwóch zasad: aby kuchnia, piwnica i w ogóle dom cały urządzone były wykwintnie, aby jak najczęściej zapraszać na śniadania i obiady z warunkiem nieodzownym, przez dobór potraw i win, uczynienia takowych słynnemi już nietylko w okolicach E...... ale i w samym Paryżu.

— Drogą żołądka, kochany przyjacielu, mówił Waksfeld, można najsilniej oddziałać na serce. Dobry kucharz w XIX wieku jest niewątpliwie największą potęgą społeczną. Od rodzaju zjedzonych potraw i sposobu ich przyrządzania, zależy całe nasze usposobienie moralne. Kucharz kieruje wedle upodobania uczuciami i myślami biesiadników. Wiele wypadków nadzwyczajnych tak w życiu pojedyńczych ludzi, jakoteż i całych narodów, można wytłomaczyć rodzajem przyjętego posiłku lub napoju, a szczególniej przyprawą sosów. Mówię tu, rzecz prosta, o kucharzach-artystach, jakich coraz mniej na świecie. W ostatnich czasach było dwóch geniuszy w swoim rodzaju: Anglik Bromshon, i pewien Francuz niewiadomego mi nazwiska, mówił nieznacznie spuściwszy oczy ku ziemi. Umarł on przed rokiem, ale na szczęście był u mnie lat kilka; wiele też wiadomości zaczerpniętych od niego, utkwiło w mej pamięci. Jeżeli więc chcesz, pojadę do twego zamku i urządzę go na wyższą stopę. Pod moim kierunkiem wydawane śniadania i obiady zjednają ci ogólne wzięcie, w prędkim więc czasie zostaniesz wyrocznią dla wszystkich młodych elegantów.

Karol Pigrenier z największą radością zawiózł obranego mentora do swoich dóbr, oddając pod jego zarząd dom cały i znaczną kwotę pieniędzy.

John Waksfeld okazał znakomite wiadomości gastronomiczne. W czasie znaczniejszych zebrań kucharze miejscowi byli tylko wykonawcami jego rozkazów. Wkrótce więc śniadania, obiady i piwnica zamkowa zyskały rozgłośną sławę. Początkowo eleganci tak okoliczni jako i paryzcy, przybywali jakby z pewnym oporem na zebrania; po przełamaniu jednak pierwszych lodów, zasmakowawszy w niezrównanej kuchni gościnnego gospodarza, nieraz sami przymawiali się o zaproszenie.

Uszczęśliwiony Karol Pigrenier rad był zatrzymać u siebie Waksfelda przez całe życie, oddając zawsze pełny worek do jego rozporządzenia.

Na nieszczęście, człowiek nigdy nie jest zadowolonym z tego co ma, zawsze pragnie więcej. Dawniej Pigrenier uważał za szczyt szczęścia, skoro znakomici panowie zasiedli przy jego stole; obecnie życzył sobie, aby i jego zapraszali nawzajem na wszelkie swe zebrania, a podobny zaszczyt spotykał go bardzo rzadko.

Mówił więc w najlepszej wierze do Waksfelda:

— Wymyśl kochany przyjacielu jaką potrawę, zresztą sprowadź wino i likiery, zdolne rozbudzić w sercach młodzieży uczucia dla mnie przyjaźniejsze. Wyprawiając śniadania lub obiady, po większej części pomijają mnie, chociaż tak gościnnie przyjmowani są w moim zamku.

Żądanie to powtórzone wielekroć razy nudziło Waksfelda; z drugiej jednak strony, chciał dotrzymać przyrzeczenia, wprowadzając biednego Karola w wyższe koła towarzyskie. Pod wpływem tej myśli rzekł:

— Znam wszystkich książąt, hrabiów i dygnitarzy zagranicznych ale ani jednego francuzkiego. Czekam na listy polecające jakie otworzą nam wstęp wszędzie bezwarunkowo. Tymcza em jednak zrobimy krok stanowczy, stawiający cię odrazu na czele miejscowej młodzieży.

— Cóż takiego drogi przyjacielu? zapytał pośpiesznie Pigrenier.

Waksfeld był głęboko zamyślonym czas jakiś, z wielką niecierpliwością jego słuchacza.

— Kiedy bawiłem na dworze cesarza brazylijskiego, rzekł nareszcie z powagą, to początkowo doznawałem oziębłego przyjęcia, ma się rozumieć nie ze strony gospodarstwa, bo byłbym zaraz wyjechał, ale ze strony licznych dworaków patrzących na mnie niechętnie jako na cudzoziemca. Chcąc zwalczyć prąd nieprzyjazny, począłem zalecać się do jednej z najpiękniejszych dam honorowych. Zakochała się we mnie do szaleństwa, co nadało mi takie znaczenie, że aż do wyjazdu mego byłem wyrocznią w Brazylii, pod względem mody, zwyczajów i stosunków towarzyskich.

— Kiedy na nieszczęście nie znam żadnej damy honorowej, odpowiedział pokornie Pigrenier.

— Nie o to sprawa chodzi, rzekł pogardliwie Waksfeld, wedle stawu grobla, orli lot nie przystoi małej ptaszynie, zdolnej wzlecić po nad ziemię zaledwo kilka łokci. Chcesz zyskać powagę nie na dworze cesarskim, ale w obec kilkunastu paniczów pysznych, bo nieznających świata, to na to wystarczy czyn drobny, a mimo tego zwracający na siebie ogólną uwagę.

Na obiedzie kawalerskim u d'Avesna, mówił dalej Waksfeld po małej chwili przestanku, na który i nas raczono zaprosić, była mowa o jakiejś szwaczce Eugenii Lawal, wychwalanej nadzwyczajnie, z powodu cnoty, poświęcenia dla matki i przyzwoitego pod każdym względem postępowania.

Gospodarz prosił zebranych przyjaciół, aby ją zwolnili raz na zawsze od dalszych zaczepek.

Widocznie w ten sposób chce on zachować dla siebie pięknego ptaszka. Otóż podbij serce dumnej Eugenii, zdmuchnij piękną panienkę d'Avesnesowi, a czyn podobny wyrobi ci odrazu znakomite stanowisko pomiędzy młodzieżą.

Udzielona rada, jako odpowiednia do usposobienia Karola Pigrenier, przypadła mu wielce do smaku; postanowił więc bezwłocznie wprowadzić ją w wykonanie.

Wystąpienie było odpowiednie do całej jego treści moralnej. Wedle jego wyobrażeń, kobieta pracująca, bez majątku, tytułu i związków towarzyskich, była osobą tak małoznaczną, że zachowywanie jakichkolwiek względów było zupełnie zbytecznem. Zaczepił więc Eugenię w sposób zuchwalszy niż ktokolwiekbądź inny, to też biedna panienka wróciła do domu w prawdziwej rozpaczy.

— Śmiało tylko, śmiało Karolu, mówił Waksfeld, a osiągniesz cel zamierzony,

Zachęcony podobnemi radami Pigrenier, posunął jeszcze dalej grubiaństwo, chcąc wziąć pod rękę Eugenię i w tym celu dotknął nawet jej ramienia. Na szczęście nadjechali jacyś podróżni i spłoszyli przecież zuchwalca.

Pod wpływem przestrachu i boleści, Eugenia na pół żywa ledwo doszedłszy do zamku Verrieres upadła na ławkę znajdującą się obok sztachet ogrodowych. Rzewne łzy oblały jej twarz, była sama, opuszczona nie mająca nikogo, chcącego rozciągnąć nad nią dostatecznej opieki.

Obok niej stał ulubiony Wierny, wyrosły z małego szczeniaka na ogromnego psa, z rodzaju brytanów Nowej Ziemi, patrzył ze współczuciem na płaczącą swoją panią, rozwiązując widocznie w umyśle swym, przyczynę większej niż kiedykolwiek boleści. Prawdopodobnie rozstrzygnął dręczącą go zagadkę, bo począł nagle szczekać, lizać ręce Eugenii; odleciał kilkanaście kroków i znów wrócił, jednem słowem zachowanie jego było odmienne niż zazwyczaj.

Rzeczywiście poczciwy pies zrozumiał, jaką przysługę może oddać swej opiekunce.

Nazajutrz więc skoro Pigrenier ponowił zaczepkę, Wierny z oczami zaiskrzonemi z gniewu napadł na zuchwalca, urwał mu połę od tużurka, przedarł inne części ubrania, wpoiwszy ostre zęby głęboko w ciało.

Pigrenier krzyknął z bólu i strachu, a zniewolony do osobistej obrony, przerwał nagle niewczesne zaloty.

Eugenia znalazła przeto niespodzianego obrońcę, bo od tej chwili Wierny został śmiertelnym nieprzyjacielem wszystkich młodych elegantów, szczególniej przechadzających się po drodze wiodącej do zamku Verrieres, niepozwalając żadnemu z nich przybliżyć się do swej młodej pani.

Pigrenier wróciwszy do domu w poszarpanem ubraniu i z pokaleczonem ciałem, postanowił zapomnieć o dumnej piękności, ochranianej od swoich wielbicieli w sposób tak niezwykły. Przyrzeczeń jednak podobnych, niezawsze można dotrzymać; wspomnienie o pięknej postawie i uroczej twarzy Eugenii, utkwiło głęboko w jego sercu, nie dając mu chwili wypoczynku. Chodził jak błędny, zajęty jedynie myślą zobaczenia choć z daleka nieprzystępnej piękności. W tym celu nabył niezliczoną liczbę kapeluszy, bo przy każdem kupnie mógł popieścić wzrok widokiem swej ukochanej. Oczarowany jeszcze bardziej jej pięknością, postanowił stracić choćby połowę majątku, aby tylko z Eugenią zawiązać stosunek bliższej znajomości.

Myślał nawet chwilowo o małżeństwie, ale środek ten uznał za niemożliwy, bo wedle swego mniemania, byłby przedmiotem pośmiewiska, biorąc za żonę kobietę pracującą. Szczególniej przypuszczalne szyderstwo Waksfelda wzbudzało w nim wielką obawę, bo uważał go zawsze za powagę niewzruszoną.

Nie mając innego środka, odwiedził panią Lucas kilkakrotnie, spostrzegłszy z zadziwieniem, że łatwiejsza była sprawa z przybraną matką, aniżeli z córką.

Eugenia czas jakiś nie wiedziała o odwiedzinach Karola Pigrenier; uważała tylko że jej opiekunka była jakaś milcząca, roztargniona, co było rażącą sprzecznością z dawniejszem jej usposobieniem.

W sercu pani Lucas staczały zaciętą walkę dawniejsze wyobrażenia o godności niewieściej i surowych warunkach cnoty, z pokusą tem niebezpieczniejszą, bo przedstawioną nie bez pewnej zręczności.

Całą jednak dźwignią moralną tej kobiety był majątek; odkąd nie stało takowego, to listki zielone opadały jedne po drugich; zostały tylko szpetne łodygi będące obrazem moralnego zepsucia.

Pewnego wieczoru pani Lucas przerwała nareszcie uporczywe milczenie, a przywoławszy do siebie Eugenię poczęła ją pieścić i całować.

Objawy podobne już dawno nie miały miejsca; poczciwa więc panienka była wzruszoną nadzwyczajnie i po raz pierwszy od wielu lat, łzy szczęścia zajaśniały w jej oczach.

— Biedna Eugenio! mówiła pani Lucas, jak jesteś zmęczoną ustawiczną pracą podczas dnia i podczas nocy. Doprawdy litość bierze patrzyć na ciebie. Wychudłaś, zmizerniałaś a pewno i puls jest nieregularny. Nie będę jednak liczyć uderzeń, bo od czasu śmierci pani Lagrauge straciłam wiarę w objawy tego rodzaju.

Dosyć jednak spojrzeć na ciebie, aby dostrzedz jak twoje zdrowie jest nadwerężone.

— Droga matko, jestem zupełnie zdrowa, odpowiedziała Eugenia, coraz więcej zdziwiona niezwykłem obejściem swej opiekunki.

— Nie mów tego moje dziecię, bo ja mam oczy i widzę dobrze. Serce twoje poczciwe i zacne nie chce mnie zasmucać, ale jestem przekonaną, że sama czujesz słabnące siły. Pracujesz jak murzynka i ja jestem tego powodem... Nieszczęsne położenie... boleję nadzwyczajnie, oh! jak boleję...

Wymówiwszy te wyrazy głosem przerywanym, uznała za właściwe obetrzéć suche zupełnie oczy, aby dać dowody wyraźne wielkiego wzruszenia.

— Zniewoloną jestem patrzyć na powolne twoje konanie, mówiła dalej pani Lucas, a skoro zabraknie ci sił do pracy, to co się stanie ze mną nieszczęśliwą?

— Po co kochana matko trworzyć się niepotrzebnie przyszłością, mówiła Eugenia, całując twarz i ręce pani Lucas, kiedy ta może być szczęśliwszą aniżeli przypuszczamy. Opatrzność nie opuściła nas dotychczas, to miejmy nadzieję, że nie opuści nas i dalej.

— Tylko tego nie mów że Opatrzność nas nie opuściła, krzyknęła złośliwa kobieta z oburzeniem. Żyjemy jak nędzarki, ty w pracy ustawicznej, ja w samotności bez najmniejszych wygód. Żebracy są szczęśliwszymi, bo do ich mieszkania nie zagląda śmierć głodna. Taki stan rzeczy nie może trwać dłużej, trzeba raz wydobyć się z tego piekła, bo inaczej przyjdzie zwariować. Chcę mieć stół odpowiedni do dawniejszego sposobu życia; chcę mieć usługę przyzwoitą, gotową na każde zawołanie; chcę bawić się i używać dopóki służy zdrowie, nie chcę zaś żyć w głodzie, w nędzy, w opuszczeniu, nie chcę zamieszkiwać samotnej stancyi, gdzie cały dzień nie zobaczę żyjącej twarzy, a za całą rozrywkę snują mi się po głowie jedne po drugich straszniejsze obrazy przyszłości.

Eugenia z przerażeniem patrzyła na panią Lucas sądząc, że ta pod wpływem doznanych nieszczęść uległa obłąkaniu. Inaczej niepodobna było wytłomaczyć stawionych żądań niemożliwych do spełnienia. Wprawdzie przybrana jej matka była zawsze przykrą, dotkliwą i wymagającą, ale wszystko to zamkniętem było w pewnym zakresie, chociaż przekraczającym o wiele środki przez nich posiadane, przynajmniej nie zastraszającym swą nadzwyczajnością. Żądania dawniejsze dotyczyły szczegółów, często drobiazgów, a dzisiaj objęły ogół całego położenia, co przy nieodpowiednich warunkach wyglądało na jakieś marzenie gorączkowe.

Pani Lucas spostrzegłszy nieprzyjemne wrażenie, jakie uczyniła na Eugenii, uspokoiła się nagle, a pocałowawszy ją w czoło, rzekła:

— Unoszę się niepotrzebnie i martwię cię swojemi żądaniami, jakie ty, nie wiedząc o niczem co zaszło, uważasz za niepodobne do spełnienia. Wypadało zacząć od tego, na czem skończę.

Oto Eugenio! mówiła po krótkiej chwili milczenia, mam ci do zwiastowania dobrą nowinę i to po raz pierwszy od wielu lat. Od nas powtarzam raz jeszcze, że od nas tylko samych zależy, zamienić dzisiejszą nędzę na byt wygodny i wspaniały; zabezpieczyć naszą przyszłość od wszelkich wypadków niespodzianych, a tem samem odzyskać pokój, jaki utraciłyśmy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Eugenia patrzyła na swoją opiekunkę ze wzrastającem podziwieniem i przestrachem, sądząc że ta rozprawa zawsze jest pod wpływem jakiejś choroby umysłowej.

— Rozumiem twój podziw i twoje niedowierzanie mówiła pani Lucas, bo doprawdy zmiana tak nagła godną jest tysiąca i jednej nocy, a jednak jest to rzeczywistość najzupełniejsza. Ofiarowano mi bowiem miejsce zarządzającej naczelnie domem bardzo bogatego człowieka. Chcą mi płacić sześć tysięcy franków rocznie i dawać zupełne wygody dla nas obydwóch. Prócz tego będziesz miała nauczycieli do muzyki, rysunków i innych nauk; uzupełnisz przeto swoją edukacyą, chociaż nie będziesz potrzebować ciągnąć z takowej najmniejszych korzyści pieniężnych.

Eugenia słysząc opowiadanie pani Lucas, sądziła początkowo że marzy, widząc jednak wyraz twarzy swej opiekunki, jak najzupełniej stanowczym, zrobiła wniosek: że ktoś z dawnych znajomych, skutkiem nadzwyczajnego zbiegu okoliczności, zamierzył im podać rękę pomocy. Pod wpływem tej myśli, oblicze jej zajaśniało świetnym promieniem dawno niewidzianego szczęścia; piękne jej oczy zaświeciły weselem, a otoczywszy rękami szyję pani Lucas, rzekła z prawdziwem wzruszeniem:

— Ah moja matko, co za szczęście, jakże raduję się z usłyszanej nowiny, wierzaj mi jednak, że nie przez wzgląd na siebie ale na ciebie. Ja już nawykłam do pracy ręcznej i do swego położenia, zdaje mi się, że stworzoną zostałam na szwaczkę. O ciebie mi tylko chodziło i chodzi, bo jeden tylko Bóg wie, ile ja łez wylałam, nie mogąc twoich potrzeb zaopatrzyć należycie.

— Sama więc wyznajesz, rzekła pani Lucas podchwytliwie, że jestem nieszczęśliwą, a tem samem nie sprzeciwisz się naszemu przesiedleniu i przyjęciu przezemnie wymienionych obowiązków.

— W czyimże to domu matko, masz przyjąć obowiązki zarządzającej? zapytała Eugenia, zostając pod wpływem jakiegoś nieprzyjemnego wrażenia, spowodowanego szczególnem w swoim rodzaju zapytaniem jej opiekunki.

— W domu Karola Pigrenier, rzekła pani Lucas głosem zupełnie obojętnym. Zebrałam o nim dokładne wiadomości, a te są wyśmienite. Znaczny majątek i szlachetność charakteru nie ulegają najmniejszej wątpliwości.

Eugenia bezwiednie odskoczyła od pani Lucas na kilka kroków, jakby niespodzianie zobaczyła głowę jadowitego węża.

— W domu Karola Pigrenier, zawołała z oburzeniem, w domu tego szkaradnego człowieka, ośmielającego się zaczepiać mnie kilkakrotnie na drodze publicznej, przez którego tyle łez wylałam!

— Uspokój się moje dziecię, rzekła pani Lucas chłodno, o interesach trzeba zawsze mówić z zimną krwią, bo inaczej umysł nasz zaciemniony nie wyda sprawiedliwego sądu. Zaczepiając cię kilkakrotnie dał tylko dowód, że jest w tobie zakochany szalenie. Okoliczność tę trzeba umieć wyzyskać, aby znowu nie wypuścić szczęścia włażącego nam w ręce. Urządzę całą sprawę nadzwyczajnie zręcznie, nietylko ożeni się z tobą, ale jeszcze zobowiązanie przedślubnem zapisze ci kilkakroć sto tysięcy franków. Wystaw sobie jak będziesz szczęśliwa, skoro on umrze, a ty jako młoda, piękna i bogata wdowa, będziesz mogła wedle upodobania zrobić wybór drugiego małżonka.

(d. c. n.)

Z życia zwierzęcego.

podług Liuis'a

podał

J. Essmanowski.

Zwróćmy wzrok nasz na naturę, oddychającą, drgającą, czynną miliardami istot organicznych, na które większość ludzi nie zwraca bynajmniej uwagi. Czy przejdziemy lasy i łąki, pola i ogrody, wysokie wzgórza i rozległe równiny, czy noga nasza stąpa koło cichych rzeczułek, uwieńczonych wijącemi się krzewami, czy nakoniec zapuszczamy się na śliskie wierzchołki gór, lub w wilgotne głębokie pieczary, nie ma różnicy: wszędzie, w powietrzu nad nami, na ziemi pod naszemi nogami, lub w wodzie otoczeni jesteśmy życiem. Odwróćmy na chwilę wzrok od świata naszego ludzkiego życia, pełnego niebezpieczeństw i smutków, a spojrzmy na spokojną działalność tego innego świata, tak bezpośrednio i tajemniczo związanego z nami.

Wyższe zadanie człowieka polega na zbadaniu człowieka, lecz oprócz tego są i inne zadania, któremi poniewierać nam niewolno. Człowiek sam zbadany dotąd niedostatecznie, dla tego że ogólne prawa życia mało zostały zbadane.

Zwróćmy więc uwagę na życie w ogóle, w szczególe zaś na te niezbadane dobrze jego objawy, które z przyczyny małych swoich rozmiarów nie zwracają na siebie uwagi.

W powietrzu którem oddychamy, w wodzie którą używamy do picia, w ziemi po której stąpamy, wszędzie ukrywa się życie. Natura żyje. Życie wytryska źródłem ze wszystkich jej otworów, każda śmierć, urodzenie, każda mogiła, kołysa. Naokoło nas, nad nami, pod nami, rozegrywa się tajemniczy i wielki dramat stwarzania!

Życie wszędzie! Powietrze napełnione ptakami; ono też zda się że kipi owadami, temi małemi cudami stworzenia. Wody zamieszkują niezliczone organizmy, począwszy od wymoczków, do tego stopnia niewielkich, iż 150 milionów w tychże nie ważyło by grana, a skończywszy na wielorybie, do tego stopnia ogromnym, że zdaje się wyspą, gdy śpi na falach oceanu. Dno morza roi się od polipów, gwiazd morskich, i w wielkiej ilości małemi jak ziarnko piasku muszlami.

Życie wszędzie! I na ziemi i pod ziemią skrywają się, pełzają, biegają i łażą żywe istoty.

Czy świeżość i spokój lasu zawiedzie nas w głąb jego, spotykamy tam, brzęczenie owadów, szczebiot ptaków, lub hałas, z przyczyny biegu, niewidzialnych zwierząt: objawy te wymownie świadczą, o ile zamieszkałą jest ta samotnia.

Czy zatrzymamy się przed drzewem, krzakiem lub trawką, przed oczyma naszemi zjawi się cała kolonia rozmaitych istot. Czy zerwiemy kwiatek, to w jego delikatnem środku, zobaczymy ładny owad, zajęty zwyczajną swą robotą. Czy podejmiemy liść opadły, prawie zawsze znajdziemy w nim gąsienicę jakiegokolwiem owadu, oczekującej zupełnego swego rozwoju pod pokryciem tkanki liścia.

Kropla rosy drgającej na tymże liściu, zawiera w sobie także żyjątka, które zobaczyć możemy pod mikroskopem. Tenże mikroskop powie nam, że tak zwany krwawy deszcz, niekiedy nagle zjawiający się, nie jest niczem innem, jak tylko zbiorem maleńkich żyjątek (Monas prodigiosa)‘, opowie on nam także, że pasy śniegu, zmieniające swój kolor w przeciągu jednej nocy na czerwony, zawdzięczają tenże maleńkiej roślince Protoeoccus niralis.

Pleśń pokrywająca nasz chleb, atrament, lub ściany wilgotne, przedstawia także zbiór roślinek. Różnokolorowy płomień wychodzący z fal morza południowego, gdy po ich powierzchni przebiega okręt, lub kapiący z wioseł w postaci dyamentowych nitek, pochodzi z milionów żywych wymoczków.

Lecz na tem zadanie życia się nie ogranicza. Grunt na którym stoimy, to wytwór życia. Zaginione rośliny i zwierzęta brały udział w budowie tej twardej skorupy naszego planety. Kopiąc głęboko, na tysiąc stóp pod powierzchnię ziemi, z zadziwieniem spotykamy kości oryginalnych, niezgrabnych zwierząt, które wędrowały po błotach i lasach, zanim jeszcze pojawił się człowiek. Podziwienie nasze wzrasta, gdy dowiemy się że wapienne skały, składają się ze szkieletów mikroskopijnych żyjątek, że zwyczajny brukowiec skrzypiący pod kołami jest zbiorem nieskończonej ilości szkieletów.

Apeniny i Kordyliery, oraz kredowe skały, są to pomniki zaginionych, niewidzialnych pokoleń. Tysiące lat temu, ci delikatni budowniczowie składali swoje skorupy, służące im za mieszkanie; z pozostałości tychże mieszkań, obecnie my budujemy swoje domy, bazyliki i pałace. Tak ciągnie się szeroki krąg życia. Pokolenie następuje po pokoleniu; teraźniejszość wyrabia materyał dla przyszłości, jak przeszłość przysposobiła materyał dla teraźniejszości. Życie każdej epoki, zarodek życia następnej.

Wszędzie więc znajdujemy obfitość istot żyjących widzialnych lub niewidzialnych, na ziemi, w powietrzu i wodzie; lecz na tem nie koniec, albowiem w samym życiu mieści się życie. Ciała zwierząt, to małe światki zamieszkałe przez odpowiednie zwierzęta i rośliny. Pewien uczony Francuz wydał obszerne dzieło poświęcone li tylko klassyfikacyi roślin rozwijających się na człowieku i zwierzętach uczeni badacze niemieccy zajmowali się opisaniem najróżnorodniejszych form, żyjących na powierzchni i wewnątrz organizmu ludzkiego i zwierzęcego, i wzbogacili naukę pasożytną fauną i florą. W płynach i w tkankach, w oku i wątrobie, w żołądku, w muzgu i muskułach znajdują się pasożyty. Pasożyty te często nawet służą jako ‚pokarm dla innych pasożytów.

Tym sposobem obejrzeliśmy á vol d'oiseau przestrzeń z którą mamy mieć do czynienia.

Od czego więc zaczniemy? Od czegokolwiek. Ta martwa żaba np. która już służyła dla doświadczeń fizyologicznych, może także posłużyć za przedmiot interesującego badania. Wyrzynamy cząstkę jej pokarmowego przewodu. Cząstka ta pusta i zdaje się obiecywać niewiele, lecz oto wycieka z niej kropla płynu, którą umieściwszy na szkiełku, i przykrywszy drugiem szkiełkiem kładziemy pod mikroskop. Proszę popatrzeć. Wiele znajduje się tutaj rzeczy które zwróciłyby naszą uwagę, lecz przypatrzmy się tym czasem maleńkiemu zwierzęciu które pływa między niemi. Co to jest?

Jest to jeden z większych wymoczków, przezwany opalina. Jaki on przezroczysty, z jaką gracyą i zgrabnością pływa po wodzie, a mimo to nie posiada, ani rąk ani nóg, ani ogona, ani kości, które mogłyby służyć jako podstawa dla muskułów, jakich także nie posiada. Istota ta składa się z samych ujemności, bez oczów, bez zębów, bez wszystkiego... nie! nie bez wszystkiego. Wpatrując się albowiem dobrze, dostrzeżemy jakieś prądy w otaczającym go płynie, a wpatrzywszy się jeszcze uważniej znajdziemy i przyczynę tychże prądów.

Na całej powierzchni opaliny porozrzucane są włoski delikatne, które są w ciągłym ruchu; włoski te są to tak nazwane rzęsy. One uderzają o powierzchnię wody, w skutek czego żyjątko posuwa się jak okręt swojemi setkami wioseł. Rzęsy te niekiedy służą jako organ oddychania, lub ruchu; niekiedy u innych wymoczków jako środek przyciągania pokarmu; w tym razie otaczając usta, nieustannym ruchem tworzą koło nich mały wir wodny, wciągający w nie pokarm. Wymoczek ten nie posiada ani żołądka, ani ust. Przyjmując pokarm płynny, opalina nie potrzebuje ust dla połykania, i żołądka dla trawienia. Płyny i gazy przechodzą przez jej delikatną skórkę i dostają się wewnątrz żyjątka służąc mu za pokarm. Tym sposobem karmi się wiele roślin i zwierząt. Komórki korzenia, któremi roślina przebija ziemię, nie mają ust dla wciągania pokarmu, mimo tego płyn przenika w komórkę, przez błonkę jej delikatną i tym sposobem podnosi się od korzenia aż do wierzchołka drzewa. Tak samo karmi się opalina. Ona sama przedstawia sobą usta, a nie ma ust; przedstawa sobą żołądek, a nie ma go. Każda część ciała tego wymoczka pełni czynności, które w zwierzętach wyższego układu pełnią osobne organy.

Opalina karmi się bez ust, oddycha bez płuc, oraz wykonywa ruchy bez muskułów.

Wymoczek ten jest pasożytem. Znajduje się w rozmaitych zwierzętach, a w żabie zawsze prawie.

Żaba więc nasza oprócz cudownego własnego ustroju, przedstawia nam cały świat drobnych cudów, całą kolonią żywych istot. Natura oszczędna i marnotrawna w przestrzeni. Rozrzuca w bezgranicznym przestworze słońca i światy, a w małych kruszynkach, odbywających ruch na powierzchni kuli ziemskiej, nagromadza miliardy nieskończenie małych mieszkańców.

O ile tylko możemy zgłębić niebiosa za pomocą naszych teloskopów, wszędzie przed nami zbiorowiska gwiazd, jako ziarnka piasku na brzegu oceanu nieskończoności, i o ile zagłębiamy się w proch i wilgoć naszego planety za pomocą mikroskopu, odkrywamy żywe istoty we wnętrzu żywych istot, pokolenia we wnętrzu pokoleń, zdaje się jakby nieskończoność światów niedostateczną jeszcze była dla pomieszczenia wszystkich objawów życia.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu.

(Dokończenie).

W ostatnich miesiącach roku niewiele ukazuje się dzieł poważnych i naukowych, gdyż nakładcy zajmują się głównie wydawnictwem książek noworocznych, a co już najwięcej nowych powieści. Pomówimy o celniejszych.

Tajemnice Killart'a p. Dowling'a, powieść irlandzka, rzecz dzieje się na dzikich zachodnich wybrzeżach zielonego Erinu. *Tajemnice Killart'a*, jest to romans głucho-niemego. Głuchoniemy rybak, urodzony z głucho-niemych rodziców, jest postrachem sąsiadów. Żadna z dziewcząt nie chce iść za niego, ale nareszcie znalazł śliczne dziewczę, temże samem dotknięte kalectwem. Po kilku miesiącach szczęśliwego pożycia, młoda żona rybaka umiera dając życie synowi mającemu być bohaterem romansu. Doskonale jest opisane przerażenie ojca na wiadomość, że syn jego może mówić i słyszeć, gdyż jest rabusiem na wybrzeżach i obawia się aby ta jego tajemnica się nie wydała. Nadzwyczaj wzruszająco i wspaniale przedstawione są sceny, gdy ojciec ukrywa skarby jakie zabrał z okrętu, który przez niego rozbił się przy brzegu. Z tej powieści dałby się ułożyć nadzwyczaj sensacyjny dramat.

Drugą powieścią bardzo rozchwytywaną ale i zawikłaną zarazem, jest *The Love that lives* (dosłownie Miłość która żyje). Streścić wszystkich węzłów intrygi i łączących ją nici — niepodobna — sprobuję jednak choć główny pochwycić wątek.

Młoda bogata dziedziczka, Elena Marche, dogorywająca, kocha pewnego młodzieńca, nie wiedząc że jest narzeczonym jej kuzynki, i błaga go jak o największą łaskę leżąc już na łożu śmiertelnem, aby ją zaślubił dlatego, iż pragnie aby mógł prawnie odziedziczyć ogromny jej majątek. Ukochany jej z początku odmawia, ale że i on i narzeczona jego, Magdalena, oboje są ubodzy, ustępuje więc nareszcie naleganiom umierającej, i daje się nakłonić do odegrania roli pana młodego w tem fikcyjnem małżeństwie. Ale, o dziwo! upojona szczęściem, umierająca zaczyna wracać do zdrowia, na wybladłą twarz jej występuje powoli bledziutki rumieniec a nareszcie odzyskuje siły: szczęście dokonało cudu. Aldevin, mąż mimo woli, pragnie uwolnić się z przymusowego związku i w tym celu zasięga rady najbieglejszych adwokatów, ale wszyscy odpowiadają mu jednozgodnie: że powrót żony do zdrowia nie może w żaden sposób stanowić punktu do rozwodu. Z rozpaczą w sercu, zmuszony jest poddać się swemu losowi.

Gdy już Elena o tyle przyszła do sił że może odbyć podróż, lekarze każą jej jechać do Włoch, gdzie udaje się z mężem, a biedna opuszczona Magdalena płacze i rozpacza. Jednak po pewnym czasie, Elena zaczyna spostrzegać zupełną dla niej obojętność męża, i zaczyna nalegać aby jej dał poznać jego powód. Wtedy Aldevin wyznaje iż kocha inną. Niepodobna wyrazić strasznej rozpaczy młodej kobiety: posełа po biedną Magdalenę aby ją pocieszyć i przebłagać za mimowolnie wyrządzoną krzywdę, i na jednym okręcie płyną do Sycylii. Wtem pożar wybucha na statku; wierny obowiązkowi, Aldevin chce ratować żonę którą poznaje po czerwonym burnusie, a Magdalenę wskazuje jednemu z majtków. Lecz, o zgrozo! wylądowawszy; przekonywa się że nie żonę ale ukochaną wyratował; Elena zginęła bez śladu, — z okrętu został tylko płonący szkielet.

Ani wątpić że Elena znalazła śmierć w płomieniach lub falach oceanu—ale gdzie tam! bohaterka zakrawa na nieśmiertelną. Wyratowana przez któregoś z marynarzy, przebrawszy się za szwaczkę, przybywa do domu którego nareszcie Magdalena ma zostać panią i pracuje nad wykończeniem jej wyprawy. Miała mocne postanowienie nie dać się poznać, ale w umyśle jej budzą się skrupuły sumienia i wyjawia Magdalenie swoją tajemnicę, ta naturalnie znów wyrzeka się ukochanego—a ten zrozpaczony jej odmową, której nie zna powodu, jak szalony wybiega z domu, zabierając córeczkę z pierwszego małżeństwa. Skutkiem strasznego wypadku przynoszą do domu bezprzytomne to dziecko, a rozbudzona miłość macierzyńska, zdradza Elenę którą mąż poznaje.

Biedna Magdalena oddaje nareszcie rękę zacnemu człowiekowi, który kocha ją oddawna i tak wszystko kończy się prawie dobrze.

Podaję treść tego romansu—o ile się dało—ponieważ niesłychaną cieszy się wziętością, a jak mówią złośliwi: że nie daremnie dziś po pensyach uczą dziewczęta matematyki, bo nie znając *Zasad Euklidesa*, nie zdołałyby w żaden sposób zrozumiéć przygód Eleny i Magdaleny.

Nadzwyczaj popularny autor; Wilkie Collins, napisał nowy romans p. n. *Fallen Leaves* (Opadłe liście). Wtajemnicza on nas w życie jednej z tych osad amerykańskich, w których przyjmują bez skrupulu wszelkie opadłe liście cywilizacyi europejskiej, istoty upadłe i odtrącone od swoich lub pozbawione środków do życia w własnej ojczyźnie, pod tym jedynie warunkiem, aby pracą swoją przyczyniali się do ogólnego dobra. Prześliczne są obrazy i sceny z tego amerykańskiego świata—ale gdy główny bohater dostaje się nareszcie do Londynu, tam już wszystkie jego przygody są tak nieprawdopodobne, iż fraszka *Tysiąc i jedna nocy*.

Nieprzebrana w pomysłach swoich miss Braddon, ogłosiła nową trzy tomową powieść. p. n. *The Cloven foot*. Utracyusz Treverton, zmarnowawszy cały majątek żeni się nareszcie z tancerką, la Chicot przybiera jej nazwisko i znika bez wieści dla rodziny. Wtem umiera stryj jego, przekazując mu znaczny majątek, z warunkiem żeby ożenił się ze swoją kuzynką. Dowiedziawszy się o tem, Treverton się zjawia; kuzynka mu się podobała, więc aby módz się z nią ożenić i objąć spadek, ukrywa ożenienie swoje z tancerką. W końcu Chicot zostaje zamordowana a męża jej przejechał powóz jakiś na Nowym--Moście, z wielkiem zadowolnieniem czytelnika, bo nie wart był lepszego losu

Zwrócić należy uwagę, że obecnie romansopisarze zmieniają typy swych bohaterek. Niedawno jeszcze przedstawiali je jako dziewczęta zbyt śmiałe, zaniedbane w ubraniu często aż do nieporządku, pędzące konno, uganiające się za jeleniem. kierujące yachtem, a wszystko to razem bez pomocy jakiej bądź istoty rodzaju męzkiego. Dzięki niebu, podobne bohaterki zaczynają wychodzić z mody, ale znowu miejsce ich zastępuje rodzaj niewiniątek czy naiwnych, które bez żadnej złej myśli stawiają się w położeniach które w rzeczywistem życiu byłyby więcej jak kompromitujące, one jednak wychodzą z nich zwycięzko, czyste i nieskażone.

Pan Alfred Hunt w powieści swojej p. n. *Basildon* wytworzył bohaterkę innego rodzaju, nader zgodną z istniejącemi obecnie rzeczywiście. Jest ona zimna, rozumująca, pełna zdrowego rozsądku, stała w uczuciach ale ani trochę nie sentymentalna. Słowem bohaterka jego powieści, jest wiernym obrazem tegoczesnych młodych Angielek. które znają i rozumieją złe, zapatrują się na nie bez obawy, i unikają ze wstrętem. *Basildon* jest wiernem odbiciem tegoczesnych obyczajów.

Obowiązek korespondenta nakazuje mi jeszcze nadmienić o szczególniejszym pojedynku redaktora *Daily Telegraph* z redaktorem *Truth*. Spotkawszy się w klubie, zachowali się wzajemnie względem siebie z całą sztywną ceremonialnością gentleman'ów; ale wyszedłszy na ulicę, uważali się za zwolnionych od wszelkich konwenansów salonowych i zaczęli bić się pięściami z towarzyszeniem najordynarniejszych wymyślań—jakiemi dziś, niestety! posługują się niektórzy redaktorowie. Gdy jednak po tej ulicznej walce, jeden z zapaśników chciał odbyć zwykły europejski pojedynek, został stawiony przed sądem poprawczym.

To wywołało w dziennikach rozprawy o pojedynkach. o których zapomniano jakoś od czasu gdy Scot, redaktor *Chronicle* położył trupem redaktora *Morning Post*. W ogóle wyszydzają tu pojedynki jako barbarzyństwo niezgodne z duchem czasu i starają się je ośmieszyć, wiedząc że to s osób najstraszniejszy. Z tego powodu przytaczają zabawne zdarzenie. Curran powiedział raz pewnemu jegomości, że nie pachnie. Los zdarzył że obrażony tem oznajmieniem był potomkiem dawnych królów irlandzkich. Wyzwał więc Curran'a na pojedynek, ten jednak nie przyjął wyzwania, dając za powód iż w żaden sposób nie może się pojedynkować, z powodu: iż jeźliby zabił przeciwnika, w takim razie ten... pachniałby jeszcze gorzej, gdyby zaś on został na placu, wtedy znów niezadługo gorszą jeszcze od swego przeciwnika woń wydawałby z siebie. Oryginalne to rozumowanie pobudziło obie strony do głośnego śmiechu, i zamiast się strzelać, zostali odtąd najlepszymi przyjaciołmi.

Na zakończenie tej korespondencyi podam jedną jeszcze wiadomość, która jakkolwiek odnosi się do faktu czysto lokalnego, jednak może ogólne obudzić zajęcie: chcę mówić o zburzeniu ostatniego więzienia za długi, tak zwanego więzienia Ławy Królewskiej (King's Bench). Więzienie to w którem przesiadywało kilka pokoleń dłużników, zaszczycane było pobytem i odwiedzinami najwyższych dostojników. Siedzieli w niem książęta, parowie, najznakomitsi cudzoziemcy, a nawet jeden król (Teodor, król korsykański), oraz wszyscy prawie sławni dawniejsi literaci, poeci, i sławni ludzie. Ale tu, jak i wszędzie, niestety! nic nie znaczyły największe talenta i zdolności, wysokie urodzenie ani zasługi: sam tylko pieniądz zapewniał więźniom King's Bench niejakie przywileje i względną swobodę. W oznaczonem promieniu około muru więzienia, ciągnęły się ulice przy których stały domki przeznaczone wyłącznie dla tych co byli w możności płacić za prawo zamieszkania w nich, i przechadzania po sąsiednich uliczkach w towarzystwie strażnika. Tu spędzili znaczną część swego życia, Brunnel, przyjaciel regenta, księcia Walli, późniejszego Jerzego IV; kapitan Morris, poeta Carlton-Housse, pułkownik Hanger i wielu wesołych towarzyszy tego księcia. Publiczna sprzedaż szczątków tego więzienia, obudziła zajęcie wielu starców którzy zapamiętali jeszcze szalone czasy dawnego Carlton--Housse; i przepłacali każdy przedmiot przypominający im dawne wspomnienia. Licytacya odbyła się w ruinach sali stanowiącej kiedyś kaplicę więzienną; jeden ze znanych kaznodziei, wziął sobie za temat kazania dzieje więzienia Ławy Królewskiej, i wypowiedział bardzo budującą naukę.

POGADANKA.

Wśród tanów i zabaw karnawałowych, wśród dobiegających tu skarg ze Szlązka i skrzętnych zabiegów naszej społeczności, aby te skargi uciszyć, wreszcie wśród powodzi koncertów i wśród szumu szczerych oklasków sypanych w hołdzie królowej polskiej sztuki, Helenie Modrzejewskiej, dziennikarze i literaci warszawscy powzięli myśl wydania pisma zbiorowego, do której to pracy zwołano starszych i młodszych, bliższych i dalszych, słowem wszystkie potęgi, wszystkich braci po piórze. Wydawnictwo to jednorazowe nosić będzie tytuł: „Dla głodnych“ aż nadto dla wszystkich zrozumiały.

Podniesiono wprawdzie tu i owdzie głosy, że będzie to tylko naśladownictwem francuzkiego „Paris-Murcie“, że lepiejby urządzić koncert lub teatr amatorski, a wreszcie, jeźli już wydawać, to wydać jaką pożyteczną książeczkę dla ludu i t. p. Niestety, jakże tu łatwo obronić się z tyłu naraz zarzutów! Bo czyż nie godzi się iść za przykładem choćby murzyna, gdy ta nędzę może podratować.

Niech więc będzie sobie naśladownictwo, gdy zapewnia nową korzyść dla nędzarzy, gdy osuszy łzy głodnym biedakom. Jesteśmy przekonani, że panie nasze pośpieszą chętnie nabywać egzemplarze wydawnictwa „Dla głodnych„ i możemy im powiedzieć na uszko. . pod sekretem... że nie pożałują tego kupna, albowiem będzie tam wiele... wiele prawdziwych perełek i cennych dyamencików myśli i sztuki polskiej...

Prawdopodobnie pierwsze egzemplarze pisma „Dla głodnych“ ujrzą światło dzienne w pierwszej jeszcze połowie lutego.

. . . .

— Czy byłeś na Operze włoskiej?

— Dotychczas nie jeszcze.

— Ach! to ci zazdroszczę, bo ja... byłem. . Jest to rzeczywiście znakomite towarzystwo, gdyż jedni z artystów mają przed sobą świetną przyszłość, drudzy świetną przeszłość... W samej rzeczy, świetność obok świetności, musi być znakomitością.

Oceniając ją jak należy, żałujemy bardzo Cieślewskiego i Wasilewskiego tak samowolnie usuniętych z naszego teatru. Kto ich zastąpi? Nie wiemy, ale napewno możemy twierdzić, że w krótce posiadać będziemy zarząd opery bez... artystów.

. . . .

Według obliczeń astronomów pojawić się mają w tym roku dwie komety, tak zwane: Winnecke'go i Faye'a. Pierwsza już po czterykroć była obserwowaną, pierwszy raz w r. 1819 a ostatni w 1875. Czas jej obiegu wynosi półszosta roku. Kometa Faye'a, która zbliża się do ziemi tylko raz na 7,413 lat, już w październiku r. b. będzie widzialną. lubo największe zbliżenie jej do słońca przypada dopiero na styczeń 1881 roku.

Nim się z nią jednak bliżej zapoznamy warto zaznaczyć pocieszający objaw serca u ludu naszego. Oto gdy w pewnej wiosce odczytano czeladzi dworskiej odezwę „Echa“ wzywającą do składek na Szlązaków i nadmieniającą, iż pewien obywatel ofiarował na ten cel 200 korcy jęczmienia, włościanie owi nadesłali natychmiast zebraną pomiędzy sobą składkę „275 rubli“, mówiąc, żeby redakcya „Echa“ przeznaczyła tę sumę „na sól do tego jęczmienia, boć wiadoma rzecz, że sam jęczmień przykra to potrawa“. Naturalnie znać tu skromną, bogobojną i rozumną rękę kapłana miejscowego, który ten list do redakcyi „Echa“ ofiarodawców układał znać jego wpływ w tym wypadku, ale jakże ten fakt bądź co bądź, jest pięknym wzorem do naśladowania i dowodem cnót w naszym ludzie, który nie jest tak zły, jakim go niektórzy malują. Trzeba tylko umiéć ruszyć tę czułą strunę miłości bliźniego uśpioną w sercach prostaczków.

Dobre przykłady rodzą dobre uczynki, to też na drugi dzień po zamieszczeniu w Echu wspomnianego listu włościan, nieznany dobroczyńca nadesłał 1,000 rubli dla Szlązaków, „na okrasę do tego jęczmienia“!

Piękne to czyny, godne żyć długo w pamięci naszej!

. . . .

Warszawskie Towarzystwo dobroczynności nie zasypia także sprawy i coraz więcej rozszerza działalność, tak bardzo pożyteczną dla dobra ubogich. Na rzecz tychże zaprosiło do odczytów publicznych kilka osobistości ze świata literackiego, a ze względu na cel spodziewać się należy, że publiczność tłumnie zapełniać będzie salę prelekcyjną.

Odczyty te wypowiedzą pp. Gloger, Sienkiewicz, Boguski, Gawalewicz, Pepłowski, Markiewicz i Milicer.

Zamierzono także urządzić „raut publiczny“ na wzór zeszłorocznego, z którego na otarcie łez sierotom i kalekom spłynęło kilkaset rubli. Następnie w salach ratuszowych urządzoną będzie Maskarada z tombolą, a także przedstawienie amatorskie w teatrze Rozmaitości na korzyść głodem dotkniętych Szlązaków.

Bal zaś wydany w Resursie kupieckiej „dla biednych na drzewo“ przyniósł dochodu 1623 rubli, drugi takiż bal odbędzie się w dniu 3 lutego z tym samym co i poprzedni celem dobroczynnym.

. . . .

W świecie wydawnictw i nowości literackich nie mamy dziś wiele do zaznaczenia.

Ukazały się dwa numera „Opiekuna domowych i pożytecznych zwierząt“ pisma, które zasługuje na jak najszczersze poparcie ze strony oświeceńszej publiczności.

Oba te numera przedstawiają się bardzo pochlebnie, dalszy zaś rozwój tego organu, przeznaczonego dla pouczenia włościan i rozbudzenia w nich litości i miłości dla pożytecznych stworzeń bożych, zależy właśnie od poparcia publiczności, do czego też całem sercem nawołujemy.

. . . .

Kronika zagraniczna przyniosła nam także w ostatnich dniach kilka faktów godnych wzmianki.

Oto damy krakowskie, które za inicyatywą księżnej Czartoryjskiej i młodej arcyksiężnej Izabeli, powzięły szlachetną myśl zapobieżenia wyjątkowej niedoli tamtejszej ubogiej ludności i które bardzo gorliwie w tym celu pracowały, otrzymały obecnie dar prawdziwie wspaniały, nowy utwór Matejki, szkic olejny, ofiarowany przez mistrza na dochód ubogich. Treścią obrazka jest także ofiarność i narażenie własnego życia dla zachowania bogactwa kraju i interesu zarobkowego górników wielickich. Przedstawia on znany fakt z historyi, gdy w salinach powstał pożar i dwaj ludzie odważni: Kościelecki, żupnik i Betman, rajca krakowski, starzec 90 letni, spuścili się do kopalń i ogień ugasili. Z właściwym Matejce talentem, powiada krakowski sprawozdawca, nieposolitą siłą pędzla i znaną świetnością kolorytu, przeniósł mistrz na płótno dostarczony mu przez kronikarza polskiego (M. Bielskiego) dramat. Obrazek ten oceniony na 1000 guldenów miał w tych dniach zostać sprzedany według woli ofiarodawcy, na korzyść biedaków starego Krakusowego grodu.

. . . .

Sacher Masoch osławiony rzezimieszek literacki na kłamstwie, potwarzy i pochlebstwie zasadzający jedynie swój rozgłos, poturbowany już w kilku procesach kryminalnych, obecnie ugodzony został strasznym pociskiem, z którego zdaje się że już nie powstanie. Oto Silesia Cieszyńska przerwała w fejletonie druk jego powieści p. t. Poszukuje się męża! usprawiedliwiając to domaganiem się licznych prenumeratorów, nie mogących dłużej znosić podobnego bezeceństwa.

Tak więc: nosił wilk barany lat kilka w końcu ponieśli i wilka. Pokazuje się że bezczelność nie ma granic dla miłego grosza.

Brak go podobno ogólny, jak wszyscy mówią, Warszawa jednak jakoś skrzętniejsza. W Towarzystwie Kredytowem zgłaszających się o nowe kupony do listów zastawnych natłok bywa tak wielki że do kratki dostać się nie można. Na zapowiedziany zaś koncert Rubinsztajna, przed przybyciem nawet jego do Warszawy, już bilety zostały rozprzedane a pięcioruble przed wszystkiemi innemi. O występie tym jednak ani słowa nie bąknę. Pięć rubli to nie fraszka, a za rubla pchać się między gawiedź galeryową, to kompromitujące. Gdy więc inni słuchali i oklaskiwali artystę jam siedział ze zwieszoną głową myśląc o marności świata, i o... Angielkach, które nadzwyczaj energicznie poczęły dobijać się o swe prawa na nowo. Albowiem londyńskie dzienniki donoszą, iż w lutym odbędzie się w Manchester wielka manifestacya na korzyść „rozszerzenia praw kobiety w Anglii“. Przedewszystkiem ma być uchwalona petycya do rządu, ażeby jeszcze przed najbliższemi wyborami do parlamentu nadał kobietom prawo głosowania, by i kobiety na przyszłej sesyi parlamentu mogły wyrazić swe zdanie o podatkach i t. d. Pani M'Laven, żona członka parlamentu, a siostra znanego Johna Brighta, przewodniczyć będzie zgromadzeniu w Manchester, na którem tylko panie będą mogły głos zabierać.

Jak wam się to podoba, łaskawe Czytelniczki?...

. . . .

Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, opowiem w końcu o osobliwszym jubileuszu, który może posłużyć za przestrogę... przepraszam... za rozrywkę. Oto pewna młodziutka, od dwóch lat dopiera zamężna gosposia we Frankfurcie, niedawno po raz już dwudziesty piąty zmieniła służącę. Dowcipny... chcę mówić... nieznośny małżonek, obchodził tę dwudziestą piątą służącę, jako jubileusz domowy, sprosiwszy na obchód, ku niemałej niespodziance i zakłopotaniu młodej pani domu, wszystkich swoich przyjaciół.

Nieznośny małżonek!

Dzienniki niemieckie, z których tę wiadomość czerpiemy, dodają tylko, że młoda gosposia rozpłakała się.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie do teatru lub na koncert. Suknia kaszmirowa w bardzo bladym kolorze przybrana aksamitem wiśniowym; wachlarz zawieszony na sznurze jedwabnym. Kreza suto garnirowana z koronki zwanej dentelle d'esprit, czepeczek z materyi jedwabnej w turecki deseń.

Ubranie wieczorowe. Suknia z różowego muszlinu przyozdobiona koronką i wszywką walansjenkową. Vêtement upięte á panier dopełnione rodzajem draperyi spadającej na bryt przedni zagarnirowany drobiutkiemi falbankami. Kwadratowy wykrój szyi suto przybrany iluzyą i koronką.

Ubranie strojne wieczorowe. Suknia z ciężkiej jedwabnej materyi w deseń adamaszkowy na tren zagarnirowany atłasowem plisowaniem i koronką, z przodu podwójne panier oszyte kosztowną frendzlą draperya na tylnym brycie u dołu rozchodząca się w dwa zęby jest środkiem przemarszczona i przepięta kokardą.

Koronki wyszyte srebrną nitką; frendzle sznelowe przerabiane jedwabiem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Waleryi S. w Topolinie. Autor o którego w liście jest zapytanie, niewiadomo gdzie się obecnie znajduje. Starać się będziemy dowiedzieć o nim i poprosić o pomoc. Część druga Obrazków Warszawskich p. t. Błędne drogi, mamy nadzieję że się równie jak pierwsza spodoba.

Panu Tadeuszowi L. w Mołmyżu. Oba pisma równie są starannie prowadzone i nie można jednemu nad drugie oddać pierwszeństwa. Przy bliższem poznaniu zdanie to zupełnie zostanie usprawiedliwione. Nie wiedząc zatem na ktore wybór padnie, Redakcyi żadnej nie zawiadomiliśmy. Za wyrażenia tak przyjazne i uznanie pracy Redaktor Przyjaciela Dzieci serdeczne składa podziękowanie.

Pani Paulinie S. w Latyczowie. Prenumerata na Tygodnik romansów i powieści wynosi rocznie rs. 4 adres do Redakcyi Kłosów. Należytość półroczna za Tygodnik mód i powieści w całości zaspokojoną została.

Na składkę dla Szlązaków. Odebrano od państwa Prószyńskich rs. 4, od p. Michaliny M. rs. 2, przytem bezimiennie rs. 7.

Pani Sewerynie M. w Mutolinie. Jeżeli Przyjaciel Dzieci wywiera zbawienny wpływ na dziatwę czytającą go, zasługa to nie Redaktora, ale Rodziców, Nauczycielek i Nauczycieli, którzy starannem wychowaniem, usposobili ją do przyjmowania chętnego słów poczciwej rady. Redaktor jest tu tylko skromnym bardzo pomocnikiem, nie jemu więc pochwała należy się ale Wam zacni pzewodnicy, z takim trudem i mozołem krzątający się około dobra swoich wychowańców.

Panu Jabłońce. Wierszyk ma skład i szyk, ale rym na ryk, kwik i syk, jakoś przestraszający.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 Января 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek,

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Broń Boże! jako doktór i przyjaciel zakazuję pani tego najsurowiej. Samotność, podniecana podobnemi rozmyślaniami, najgorzej oddziaływa na zdrowie, i może smutne za sobą pociągnąć następstwa. Zajmij się pani tem tylko co może cię rozweselić i rozerwać.

— Słucham rozkazu doktora... Mówmyż więc o ostatniej operze w *la Scala*...

— I owszem... Byłaś pani na niej?

— Nie. Pierwsze przedstawienie dane było właśnie w przeddzień mego ślubu, . A pan, czy znasz tę operę?

— Ja! nie znam. Już od lat kilku nie byłem w teatrze, jestem jakby dziki człowiek.

— I jakiż tu znaleźć przedmiot do rozmowy, żeby był... higieniczny a zarazem nie nudny, wesoły —a nie zostający w rażącej sprzeczności z naszem usposobieniem... z tem smutnem i samotnem ustroniem... z opłakanem położeniem mojem?

— Musimy go znaleźć.

— Szukajmyż, bo liczę na to że mnie pan często odwiedzać będziesz... Tak potrzebuję porozmawiać z dobrym i pewnym przyjacielem... inaczej mogłabym z czasem zapomnieć mówić... Nie wpatruj się pan we mnie takim bystrym, badawczym wzrokiem, przejmującym mnie strachem... Założyłabym się że studiujesz mnie pan jak jakiś fenomen patologiczny!

— Powiedz pani raczej jako istotę psychologiczną.

— Ale skoro pan nie wierzysz w psychologię... jakże możesz przypuszczać że ona istnieje—w mojej osobie.

— Jesteś pani kobietą wyjątkową... jest w pani coś takiego czego nigdy nie zdarzyło mi się znaleźć w żadnej innej kobiecie.

— Gotóweś pan odkryć że mam duszę!

— Kto wie! to pewna że szukać jej będę... jeźli tylko pani hrabina raczy na to zezwolić.

— Dla czego nie; nie potrzebuję obawiać się badań i dochodzeń pana—czuję że duszę moją można śledzić i badać, i bez pychy i zarozumienia powiedzieć mogę że jest czysta, bez skazy i jak śnieg biała.

— Czy i tak zimna?

— Nie zdaje mi się... szczególniej dla przyjaciół.

Wtem wszedł służący zawiadomić że już obiad na stole.

— A nim się spostrzegła że to już godzina obiadowa! zawołała Berta; panie doktorze, dzięki tobie przez dwie godzin zapomniałam o swoim smutku.

— A ja o moich chorych, odpowiedział.

— Takie już widać jest smutne moje przeznaczenie: za dobre złem odpłacałam.

— Niech to panią nie niepokoi; dając mi sposobność do tak zajmujących badań wyświadczyłaś pani wielką łaskę doktorowi—a która i chorym na korzyść wyjść może. Iluż z nich dla tego właśnie wyzdrowiało, że doktora nie zastali w domu. Medycyna, mająca być niby sztuką leczenia, jest najczęściej tylko biedną, na oślep postępującą niewidomą.

— Doktorze, spotwarzasz naukę!

— Bronię natury. Tak często byłem świadkiem jej walk staczanych z chorobą i z doktorem... i nie raz byłaby zwyciężyła pierwszą, gdyby doktór nie stanął jej w poprzek... Człowiek jest szkodliwą istotą... No, idź pani do obiadu .. dobrego apetytu.

— Więc jeźli przypadkiem zachoruję, nie radzisz mi pan zawezwać twej pomocy?

Doktór się uśmiechnął, Berta podała mu rękę, mówiąc:

— Odwiedzajże mnie pan przynajmniej póki jestem zdrowa; zobaczymy następnie czy będzie potrzeba szukać porady pana jako doktora... Do widzenia!

Doktór skłonił się z uszanowaniem, i gdy Berta wchodziła do sali jadalnej wyszedł przeciwległemi drzwiami, a roztargniony jak zwykle, potrącał się o wszystko co tylko napotkał, przez co nie małego narobił hałasu. Coby to było gdyby baronówa patrzyła na to!

Dnie upływały w villa Hortensia dość znośnie, choć na pozór monotonnie. Doktór często odwiedzał hrabinę, czytywał jej dzienniki lub książki, zwijał włóczki do haftu i mówił wiele już to o smutnych już wesołych przedmiotach. Niekiedy milczeli oboje, tak głęboko zamyśleni iż możnaby było usłyszeć przelatującą muchę. To znowu doktór siadał przed kominkiem, poprawiając palące się głownie lub kreśląc pogrzebaczem różne hieroglify na popiele, a hrabina, zajęta krzyżową robotą, wypytywała go o chorych i biednych. Następnie zostawszy sama, posełała pomoc najbiedniejszym.

W tym czasie Fiorina przestała wdzięczyć się do Franciszka, okazywała mu zupełną obojętność i starała się nawet go unikać. To postępowanie będące wynikiem urazy jaką powzięła ku niemu za jego zbytnią ostrożność, spotęgowało jeszcze skrytą miłość biednego ogrodnika, nie umiącego przezwyciężyć swej przesadzonej nieśmiałości. Ilekroć zamierzał już wyraźnie oświadczyć swoje uczucia, wydarzyła się zawsze jakaś przeszkoda, a zalotna dziewczyna czekała i czekała daremnie. Korzystając z wolnych od swych obowiązków godzin, porobiła różne znajomości w sąsiedniej wiosce, co budziło gniew i zazdrość ogrodnika i może przyczyniało się także do powstrzymywania go od stanowczego oświadczenia się o jej rękę.

Gdy się to dzieje przybył do villi rządca pałacu Castelbreno, przysłany przez notaryusza z Mediolanu dla przejrzenia i uregulowania rachunków, oraz przekazania Franciszkowi tajemnych rozkazów hrabiego. Wziąwszy go na bok, rzekł mu:

„Wiesz dobrze, kochany Winter, że pan hrabia pokłada najzupełniejszą ufność, nie tylko w twej zdolności i znajomości ogrodnictwa, ale także w twojej poczciwości i wierności, i dla tego to tobie jednemu powierza nader delikatne i trudne zadanie, abyś jak najściślejszy rozciągnął nadzór nad pałacem i nad parkiem. Czuwaj więc bacznie, tak we dnie jak w nocy, aby nikt nie mógł wejść ani wyjść bez twojej wiadomości. A ponieważ nie podobna abyś mógł wcale nie sypiać w nocy, więc dla ostrożności każ porobić zamki do wszystkich drzwi i okien parterowych, i sam je pozamykaj codziennie zanim się udasz na spoczynek. Postępuj przezornie, staraj się nie obudzić niczyich podejrzeń, ale niech nic nie ujdzie twego oka. Powód tych poleceń pana hrabiego jest nader ważny, doszło bowiem do jego wiadomości iż rabusie zmówili się aby wykraść z pałacu bardzo piękne kosztowności. Strzeż więc troskliwie pańskiego dobra,—a jeźli przypadkiem dostrzeżesz rabusia... nie bój się... strzelaj do niego jak do wilka.

— O! to byłoby zbytecznem.

— Takie są rozkazy pana hrabiego, przekazałem ci je, odtąd ty będziesz odpowiadał za wszystko. Ale jeszcze mam ci powiedzić. Jeźli spostrzeżesz jakąś podejrzaną osobę włóczącą się koło parku, lub gdyby przybył ktoś nieznajomy i pod jakim bądź pozorem chciał dostać się do pałacu, nie wpuszczaj go pod żadnym warunkiem, gdy się oddali śledź go z daleka, dowiedz się o jego nazwisku i natychmiast zawiadom o tem pana hrabiego. Nie potrzebujesz porozumiewać się z nikim, o każdym ważniejszym wypadku masz zdawać sprawę samemu panu, adresując do Wenecyi, *poste restante*... Zachowaj to wszystko w najgłębszej tajemnicy. Czy zrozumiałeś?

— Doskonale.

— Zastosuj się najzupełniej do odebranych rozkazów, służ panu pilnie, bądź milczącym jak sfinx, karnym jak żołnierz, wiernym jak poczciwy człowiek—a hrabia nie będzie niewdzięcznym.

— Spełnię sumiennie mój obowiązek, odrzekł z prostotą Franciszek.

Zaraz po oddaleniu się rządcy,Franciszek sprowadził ślusarza i ze zwykłą sobie akura tnością spełnił odebrane rozkazy. Co wieczór obchodził park i pałac, sprawdzał czy wszystkie drzwi dobrze są zamknięte, następnie kładł się do łóżka które postawił sobie umyślnie w jednym z parterowych gabinetów, i jak czujny pies spał tylko jednem okiem a drugiem czuwał.

Hrabina nie zwróciła uwagi na ten nadmiar ostrożności, ale spostrzegła i zmiarkowała je niebawem Fiorina, która nie mając wiele roboty, często uwijała się po parku. Zaciekawiona zapytała Franciszka co było tego powodem, ale ten odpowiedział jej lakonicznie:

„Nic to nic, kto nic złego nie robi nic ma się czego obawiać."

Ani słówka więcej dowiedzieć się nie mogła. Ogrodnik przysłuchiwał się bacznie rozmowom służących, śledził co się dzieje na gościńcu; przyglądał się bystro przychodzącym po jałmużnę żebrakom. Ta nieustanna czujność podsycana zazdrością jaką budziło w jego sercu obecne postępowanie Fioriny, ciężko dawała się uczuć dziewczynie pragnącej swobody i chcącej bądź co bądź nie marnować młodości i używać życia.

Pewnej niedzieli, widząc ją idącą do kościoła

Franciszek poszedł za nią z daleka i zobaczył że na zakręcie drogi przystąpił do niej jakiś nieznajomy, zdający się oczekiwać tam na nią. Zapytał jej zaraz wieczorem.

„Co to za nieznajomy towarzyszył ci dziś rano aż do drzwi kościelnych?... widać bardzo wiele miał do powiedzenia.

Na to nieprzewidziane zapytanie, Fiorina poczerwieniała jak wiśnia, i odpowiedziała:

„Jaki nieznajomy? ja mówiłam tylko z Moniką.

— Nie kłam daremnie — widziałem na własne oczy.

— I cóż wielkiego... a Franciszek to nie rozmawia z ludźmi? Cóż to za kobieta czekała na ciebie przy kracie, onegdaj rano?

— Odpowiedz na moje pytanie, zamiast mnie indagować.

— Ach! jakże niegrzecznym i dokuczliwym się stałeś!...

— Jeźli takim jestem, to z twojej winy... dla czegóż nie jesteś dla mnie tak uprzejmą jak dawniej?.. Co za jeden jest ten jegomość, chcę wiedzieć koniecznie.

— Jest to Anglik.

— Który się do ciebie zaleca.

— Cóż znowu!.. męczysz mnie tylko swemi śmiesznemi podejrzeniami... ani on ani nikt nie zaleca się do mnie.

— A więc cóż chciał od ciebie?

— Jest to dawny znajomy mojej pani, i pytał mnie o jej zdrowie.

— Diavolo! widać żądał bardzo drobiazgowych szczegółów, kiedy rozmowa tak długo się ciągnęła.

To powiedziawszy orzucił Fiorinę szyderskiem spojrzeniem, i odwróciwszy się odszedł.

Nazajutrz ogrodnik zobaczył tegoż samego Anglika uwijającego się koło parku, na skarogniadym wierzchowcu; w parę dni potem, wieczorem, widział go spacerującego w pobliżu i bacznie przyglądającego się pałacowi; szedł za nim zdaleka, ale znikł mu gdzieś w lesie. Widocznem było że ów nieznajomy ma jakieś stosunki z villą; trzeba było śledzić nadal i milczeć, ale żywo zaciekawiony, nie mógł wytrzymać i znowu wspomniał o nim Fiorinie. Zrobiła wielkie oczy przysięgając się że o niczem nie wie, ale od owej chwili anglik już się nie pokazywał mimo najściślejszych poszukiwań ogrodnika, coraz baczniej strzegącego przystępu do villi. Franciszek przeglądał codzień wszystkie zakątki parku, na noc starannie zamykał wszystkie wyjścia i przez cały dzień nie spuszczał z oczu wchodowej bramy.

Fiorina była teraz dla niego znowu uprzejmiejszą ale nie szukała spotkania, pozwalając mu uwielbiać się zdaleka Był to system zupełnie odmienny niż dotychczasowy, ale poczciwy Tyrolczyk uważał go za stosowniejszy; zalotność jaką się posługiwała z początku zawróciła mu głowę. obecna skromna powaga budziła w nim poszanowanie i ujmowała za serce.

IX.

Markiz Castelbreno napisał do synowca długi list którym zawiadamiał go o postanowieniu Berty i jej stanowczej odmowie żądania unieważnienia małżeństwa, przekładając zarazem że to szlachetne jej postępowanie wkładało na niego obowiązek jak najśpieszniejszego powrotu. Nakłaniał go więc aby opuścił tę kobietę która swą szatańską kokieteryą wyraźnie go oczarowała, zaklinając w imię honoru, sumienia i obowiązku aby wracał do Mediolanu, obiecując sam zawieźć go do villa Hortensia i wyjednać przebaczenie, zapewniając że wszystko będzie zapomniane i będzie mógł żyć szczęśliwy obok najlepszej, najszlachetniejszej z kobiet. Objawiał najgłębszy podziw i uwielbienie dla wzniosłego i zarazem energicznego charakteru Berty, zasługującej pod każdym względem nosić piękne nazwisko Castelbreno.

„Stary niedołęga! zakrzyczał hrabia Cipriano przeczytawszy list stryja.—i włożył go do kieszeni razem z listem swego przyjaciela który zawiadomił go o zamiarach sir Norwich'a.

„Jeźli mówił sobie, Anglik zakłada się o coś i poręcza słowem honoru, znaczy to niezawodnie iż widzi wszelkie prawdopodobieństwo powodzenia. Nie śmiałby odzywać się z taką pewnością siebie, nie mając jakichś uzasadnionych nadziei. Rzecz prosta że nie może myśléć o Sarze która jest ciągle ze mną, ale ma zamiar zbałamucić Bertę i nakłonić ją aby z nim uciekła, a tak on zemściłby się na Sarze że drzwi swoje zamknęła przed nim, Berta na mnie żem ją opuścił... I kto wie ile to już knuje się intryg dla urzeczywistnienia tej podwójnej zemsty. Zapewnie sir Norwich musiał dawniej niż ja znać Bertę, czy to podczas podróży jakie odbywała z matką, czy w Mediolanie w którymś z domów w których bywała z baronową Montferrano. Przebywa teraz w Monza... a może widział się z nią w hotelu *pod Sokolem* w dzień ślubu; zapewnie nie umiała powstrzymać się od płaczu, a on pocieszał i litował się nad jej losem, złośliwemi uwagami o mnie przygotowywał sobie grunt, pod pozorem bezinteresownej przyjaźni ofiarował jej swoje usługi... prosząc opuszczonej małżonki, aby w razie jeźli niewierny mąż nie wróci, pozwoliła mu odwiedzić się w villi. Każę jak najściślej strzedz pałacu i parku; wydam w tym celu odpowiednie rozkazy, — i biada temu kogo schwytają... Co do stryja, potrafię mu odpisać.

I z gniewem chwytając za pióro, w gorączkowem usposobieniu napisał co następuje:

„Kochany stryju.

„Dzięki swej naiwności i łatwowierności, zawsze stawać się będziesz ofiarą swego dobrego serca i oszustów umiejących wyprowadzać cię w pole. Zarówno jak nie umiałeś poznać się na tem iż tylko na złość komuś postanowiłem się ożenić, i wyswatałeś mnie z panną która ze swej strony z nudów chciała iść za mąż nie zważając za kogo — tak i obecnie skojarzywszy najniedorzeczniejsze małżeństwo, znowu zapatrujesz się zupełnie fałszywie, uważając miłość za występek, a przewrotność za cnotę — i dla tego nazywasz wzniosłem postanowieniem, konieczność popychającą młodą opuszczoną kobietę do chwycenia się jakiego bądź środka, byle tylko uniknąć nieznośnego despotyzmu opiekunki. Daj sobie pokój, stryjaszku, i nie zachęcaj mnie do powrotu do Mediolanu, jeźli pragniesz nowych, większych jeszcze uniknąć nieszczęść. Zapewnie nie wiesz nic o tem, iż przybywszy tam mógłbym odkryć szatański spisek uknuty dla zniesławienia mnie. Z tak niepojętą lekkomyślnością potępiasz kobietę której nie znasz zupełnie, i której brakuje tylko upoważnienia syndyka aby prawnie nosiła moje nazwisko, a pochwalasz i uważasz nawet za szlachetne i pełne godności postępowanie panny zaślubionej nierozważnie, która uzbrojona prawem pragnie przykuć mnie do siebie na wieki, uważając się uparcie za żonę moją, choć jest nią tylko z nazwiska, a nie dość na tem stara się wyzyskać to stanowisko, przychylając się do występnych knowań, w celu zasycenia swej zemsty. Przekonywa to jasno do czego są zdolne pewne niby uczciwe kobiety, gdy się je wystawi na próbę.

„Proszę więc najuprzejmiej, zechciej stryj wypuścić mnie ze swej opieki, potrafię sam nakazać poszanowanie dla mego nazwiska. Potrafię sam zerwać nienawistne więzy nierozważnego małżeństwa, i wyjść z otchłani w jaką na nieszczęście popadłem, jako ofiara mego błędu i mojej dobroci. Wybacz stryj moją szczerość, tak rzadką w synowcach, i nie mięszaj się nigdy do spraw tak zawikłanych,— w twoim wieku zapóźno już rozpoczynać zawód dyplomatyczny. Ponieważ, zamiast jak mniemałeś, skojarzyć wzorowe małżeństwo. zrobiłeś tylko dwie nieszczęśliwe ofiary, dozwólże im przynajmniej radzić samym sobie, i nie upieraj się odgrywać koniecznie rolę komiczną w dramacie tak poważnym, który mógłby się bardzo zamienić w trajedię. Życzę stryjowi zdrowia i proszę chciej wierzyć że zawsze pozostanę twoim przywiązanym synowcem.

„Cipriano."

„A! nędznik!... nędznik!... powtarzał starzec czytając i odczytując ten list; niech mnie licho porwie jeźli nie zerwę z nim stanowczo!... Biedna, biedna Berta!.. przykro mi to bardzo, ale nie mogę już mięszać się do tego steku niegodziwości!"

Baronowa Montferrano ciągle znowu powtarzała mężowi:

„Uwikłaliśmy się w ciężkie kłopoty... a co najsmutniejsza że to sprawa strasznie skandaliczna... trzeba nam wycofać się zawczasu i trzymać na uboczu. Ponieważ adwokaci oznajmili że nie można wytaczać procesu bez upoważnienia żony — tem lepiej! zostawmy tej pozostrzelonej całą odpowiedzialność za jej szalone postępowanie; nie zgłaszajmy się do niej wcale. Honor nie pozwala nam stawać się pastwą nikczemnych plotek, ani poniżać skandalem bezprzykładnym w dobrem towarzystwie. Uważajmy odtąd że Berta nie istnieje już dla nas — nie myślmy i nie mówmy o niej!

Baron nigdy w niczem nie sprzeciwiał się woli żony, odpowiedział więc.

— Stanie się jak żądasz... nie ma się co obawiać aby to postanowienie wpłynęło na zniżkę wartości.

I wziąwszy swoją grubą laskę, poszedł na giełdę.

Tak więc Berta została zupełnie opuszczoną od krewnych, i podczas gdy mąż prowadził hulaszcze życie w Wenecyi, ona spędzała samotnie smutne dni zimowe, w villi pokrytej śniegiem.

Podczas karnawału, Sara Yves wciągnęła kochanka w wir uciech i zabaw weneckich. Była królową balów maskowych w wspaniałych salonach Towarzystwa Apollina; modną pięknością w teatrach i na spacerach, gdzie się tylko pokazała podziwiano jej okazałą postawę, budziła ogólną zawiść i zazdrość kobiet, i tak cała zima przeszła jej wśród uciech, balów, koncertów, kolacyj i najróżnorodniejszych zabaw — nie zostawiała hrabiemu Cipriano ani chwilki wolnej, zawsze musiał być przy niej.

Zawsze otoczona licznym hufcem wielbicieli; wzbudzała najgwałtowniejsze namiętności przez swe urokliwe spojrzenia i uśmiechy, które dreszczem obawy przejmowały matki i żony—mimo to nikt nie mógł się pochlubić najlżejszemi jej względami. Dziwny blask palących jej oczu głębokie i bolesne zadawał rany, które zaogniała jeszcze swoją bezcelową kokieteryą i wyzywającemi uśmiechami, jak gdyby całem jej szczęściem było wzbudzenie beznadziejnych namiętności.

Nikt nie mógł jej zarzucić niewierności dla hrabiego Cipriano, a odprawieni wielbiciele, narzekali gorzko na tę niebezpieczną syrenę.

Gdy ukazała się w jakiemś miejscu publicznem, na promenadzie czy w loży, sprawiała wrażenie świetnej gwiazdy, wszystkie inne zaćmiewającej swym blaskiem. Życie jej było jednym nieprzerwanym ciągiem tryumfów i upojeń.

Jednocześnie, w villi Hortensia, tylko zimowe uragany i burze przerywały milczenie, a samotność rzadkie odwiedziny doktora Gabrielli. Przybywał w kabriolecie, osypany śniegiem, skostniały od zimna. Nie wchodził do salonu póki się nie przekonał że koń jego był w stajni dobrze umieszczony i okryty ciepłą perą i polecał go opiece Franciszka. Następnie kazał się zameldować i wchodząc do salonu zastawał zawsze hrabinę samą, smutną, zamyśloną, z robotą w ręku, z książką otwartą przed nią. Siadał przed kominkiem i rozcierając zziębnięte ręce, poprawiał ogień odpowiadając na pytania Berty, odnoszące się zawsze do jego chorych.

„Czy dużo masz chorych, doktorze?... Jakże się ma ta biedna kobieta?... a to dziecko?... ten starzec?... Doktór odpowiadał wpatrując się w nią swoim śledczym wzrokiem, jak nawykł patrzeć na swoich chorych, a czasem nawet brał ją za puls.

— Zdrowa jestem, doktorze, mówiła wtedy, nic mnie nie boli.

— Dzięki niebu, odpowiadał, ale to źle że czytam w oczach pani cały świat bezładnych myśli, które sen spędziły z powiek...

— Zwykle mało bardzo sypiam .. a sen mój jest przerywany... niespokojny... taki nawał myśli ciśnie się do głowy.

— Zbyt długie rozmyślanie zakłóca organizm... umysł potrzebuje wypoczynku, noc przeznaczona jest do spania.

— A gdy to jest niemożliwem... ciało spoczywa, a umysł wędruje...

— Chciej pani zrozumieć że jest to błędne orzeczenie... ciało i myśl są z sobą nierozłączne... gdy myśl wędruje...

— Ciało za nią goni?

— Ależ nie! pozwól mi pani skończyć... Gdy myśl wędruje... ale to pani tak się wyrażasz—trzeba mówić gdy mózg myśli.. Otóż gdy mózg myśli, ciało nie odpoczywa.

— Dobrze... ale nie zawsze jednakowo się myśli.. Gdy, naprzykład myślę o mojej robocie, jest to całkiem inaczej niż gdy unoszę się myślą ku drodze do Wenecyi... otóż w takich razach wyrażam się że myśl moja wędruje.

— Zapominasz pani że zabroniłem ci mówić o metafizyce... proszę więc zmieńmy przedmiot rozmowy.

— Nie moja wina jeżli zaczęłam mówić o tem... zawsze mimowoli zwracam się tam gdzie pan skierujesz myśli moje.

— Ale bo też szczególniejsze robi pani spostrzeżenia... Jesteś pani rzadką, niezwykłą kobietą... postanawiam sobie stale nie zadawać pani żadnych pytań w niektórych przedmiotach, i bezwiednie nasuwam tę właśnie materyę.

— Rozumiem—chciałbyś pan abym zamiast rozmyślać o rzeczach poważnych zajmowała, się małostkami, ale jestże to podobna skoro znajduję się w tak ciężkich okolicznościach i w ciągłej samotności, co wszystko skłania do poważnego nastroju? Chciej pan tylko zwrócić na to uwagę że w całej okolicy jest nas może dwie tylko myślące istoty i pragniesz abyśmy się nie wyrzekli działania najszlachetniejszej z władz naszej duszy?... Odstąp od tego zamiaru, doktorze, bo nie zdołasz go przeprowadzić... dwie myśli na pustyni przyciągają się wzajemnie.“

Nastała chwila milczenia, poczem Valentino rzekł:

— Powinienbym przychodzić rzadziej, — za często panią nudzę.

— Cóż znowu! zawsze widzę pana z wielką przyjemnością... a potem, jako przyjaciel, powinieneś starać się rozerwać mnie i pocieszyć,

— Gdybyż to było w mej mocy!... Czuwam nad panią... badam... zastanawiam się...

— I nie pojmujesz mnie pan?

— I zaczynam panią pojmować.

— A! tem lepiej! co do mnie, bez badania, pojmuję i rozumiem pana.

— A czy wiesz pani dla czego?

— Nie wiem, doprawdy.

— Wytłomaczę to pani. Oto bo między biednym doktorem wiejskim a młodą nieszczęśliwą kobietą, tak wielka zachodzi różnica, jak między jakąś pospolitą książką a lirycznym poematem.

— Jestem nieszczęśliwą, to prawda—ale nie raz wyrzucam sobie że nie jestem jeszcze dość nieszczęśliwą.

— Cóż to za nowa zagadka?

— W mojem położeniu, rozpacz powinnaby mnie ogarniać, a przeciwnie mam za wiele rezygnacyi.,. Nie przeraża mnie moja samotność i odosobnienie; choć to zima wieś mi się podoba, bo wszystko tu harmonizuje z mojem usposobieniem. Dobrze mi w tem oddaleniu od zgiełku i wrzawy światowej... samotność mi nie ciężу... nie płaczę za przeszłością, nic nie żądam, nic nie pragnę... żyję spokojna... chciałabym aby teraźniejszość trwała długo!... długo!...

Valentino słuchał jej słów z religijną uwagą, starając się wniknąć w tę czystą duszę, wykazującą tak naiwnie swe wrażenia, jak piękny kwiat wydziela swe wonie. Czuł że obecność tej niezwykłej kobiety wprawiała go w zachwycenie, ale starał się ukryć to przed sobą samym—i zmieniał przedmiot rozmowy.

Ilekroć powracał do siebie po dłuższej z Bertą rozmowie, puszczał wodze koniowi, i z roztargnieniem trzymając lejce, nie widział nic przed sobą ani drogi, ani zawad na niej, ani pozdrawiających go osób.

Zasiadłszy w swoim gabinecie, przeczytał kilka kart z kolei i nic nie zrozumiawszy musiał powtarzać czytanie. Chorzy dostrzegali ciągłe jego czemś zajęcie, przyjaciele zauważyli wielką zmianę w jego nawyknieniach i usposobieniu. Już to zwracał nader baczną uwagę na drobne domowe szczegóły, już stawał się zupełnie obojętnym na najważniejsze rzeczy. Szukał samotności, odwiedziny stawały mu się natrętne.

Zamknięty sam w sobie, myślał często:

— Gdyby Berta była mi równa pochodzeniem i stanowiskiem, jest to jedyna kobieta którą pragnąłbym mieć za towarzyszkę życia. Zdaje mi się iż potrafiłbym zapewnić jej szczęście,—życie uśmiechałoby się do nas... Trzeba nieszczęścia że los obdarzył nią ślepego, nie umiejącego ocenić posiadanego skarbu.. I jakiż los? jaka przyszłość ją czeka?... W każdym razie ten ślepy jest moim przyjacielem od lat dziecinnych... prawie bratem... powinienem więc czuwać nad nią—a szczególniej czuwać nad sobą..., Muszę zdobyć się na to poświęcenie—i coraz rzadziej bywać w villa Hortensia.

I powracał tam nazajutrz, pod pozorem proszenia o wsparcie dla biednej jakiejś wdowy.

Tak mijała zima.

X.

Pewnej pogodnej wiosennej nocy, Franciszek wyszedł do ogrodu, dla przekonania się czy robotnicy spełnili jego polecenie i nakryli pewne kiełkujące rośliny, dla których zimno mogło być nader zgubne. Bał się białego przymrozku tak szkodliwego dla młodych roślin, i przechadzał się niespokojny po alejach parku zapatrzony w księżyc, gdy w tem usłyszał rżenie konia. Zdziwiony niewymownie podbiegł w tę stronę, przeszedł przez mur i zobaczył karo-gniadego konia, którego często widywał przywiązanego do drzewa po za parkiem. Biedne zwierzę, znudzone widać długiem czekaniem, grzebało ziemię na znak niecierpliwości, i dość już znaczne w niej powybijało dziury. Widocznie jeździec już od jakiegoś czasu tam go zostawił—gdzież więc mógł być?... Nie wiedząc co robić, Franciszek czas jakiś stał zaczajony, ale nie mogąc się nikogo doczekać, zaczął uważnie przeszukiwać do koła, nasłuchując najlżejszego szmeru który mógłby go na ślad naprowadzić.

Do koła głęboka panowała cisza, przerywana tylko skrzeczeniem żab, odzywaniem się świerszczy i szczekaniem psów gdzieś w oddali.

A jeżli też ów ktoś którego szukał znajduje się w pałacu? wydawało mu się to czemś nieprawdopodobnem, jednakże nie niemożliwem. Trzeba czatować całą noc i pilnować wszelkich wyjść. Ale co robić jeżli go dopatrzy?... Zabić! nie... nie... tego się nie dopuści. On miałby niespodzianie, z zasadzki, zabijać bezbronnego?... cóżby to za straszna była zbrodnia!... jakież straszne wyrzuty sumienia dręczyłyby go przez całe życie!... Nie, tego nie uczyni, choćby miał miejsce stracić!...

Więc należałoby go przytrzymać — ale jeżli stawi opór — czy przyzywać pomocy robotników, lub ukryć kogoś w parku i pochwycić go z nienacka?... Ale tym sposobem mogłoby się narobić rozgłosu i skandalu którego unikać należało.

I przeszło godzina minęła, zanim wahający się zawsze ogrodnik zdecydował się na coś stanowczego. Jednakowoż jeżli ten ktoś będzie wychodził z pałacu, toć przynajmniej trzeba dowiedzieć się co to za jeden. Wprawdzie Fiorina powiedziała mu że ów mężczyzna którego widział rozmawiającego z nią jest Anglikiem, ale Anglików jest nie mało trzeba koniecznie dowiedzić się jak się nazywa, i gdzie mieszka. Nareszcie po długim namyśle, wyrozumował sobie iż dowiedziawszy się gdzie mieszka ów nieznajomy, łatwo mu będzie poznać jego nazwisko—i dla tego postanowił go śledzić. W tym celu udał się do stajni dla osiodłania konia, poczem wyprowadził go i przywiązał do kraty parku.

Minęła godzina i ani żywa dusza się nie pokazała. Koguty zaczynały piać witając pierwsze brzaski wschodzącej jutrzenki, gdy w tem zdało mu się że słyszy odgłos otwierającego się okna, w kierunku południowym; pobiegł prędko w tamtą stronę i ukrył się za pniem drzewa, aby się przekonać co to być może. Otwarte było okno w rogu korytarza wychodzące na daszek po nad spiżarnią; stał w niem jakiś mężczyzna przezornie rozglądający się do koła, a gdy zdawało się że nigdzie nie ma nikogo i najzupełniejsza panuje cisza, wyszedł ostrożnie na dach, i chwytając się mocno rękami wystawki jego, spuścił się na ziemię. I znowu obejrzał się czy go

ktoś nie zobaczy i przebiegł w pobliżu drzewa, po za którem ukrywał się czatujący ogrodnik. Poznawszy chód pana, koń zaczął rżeć radośnie. Franciszek miał wielką ochotę uchwycić tego człowieka za gardło i zmusić do wyznania swej winy, ale ciało poczciwego Tyrolczyka, tak leniwo spełniało zlecenia myśli, iż zawsze dużo bardzo tracił czasu między zamiarem a wykonaniem, — zanim tedy porzucił swoje stanowisko, Anglik mógł przejść park i przeskoczyć otaczający go mur. Gdy jednak posłyszał oddalający się tentent konia, namyślił się nareszcie pobiedz do kraty, otworzyć ją, poczem wskoczył na koń i zdala podążał za nieznajomym.

Zaczaił się na zawrocie drogi skąd mógł widzieć niewidziany; Anglik zwrócił się na gościniec, obejrzał się raz jeszcze czy kto go nie śledzi, poczem zapalił cygaro i już nie odwracając się jechał dalej. Franciszek trzymał się zdala, ale nie tracił go z oczu. Gdy dojeżdżali do Monza, słońce weszło już wysoko po nad horyzontem, a drogi zapchane były wozami i wieśniakami podążającymi na targ. Zamieszany w tłumie, Franciszek mógł teraz zbliżyć się znacznie ku ściganemu, aby gdzie na zakręcie drogi nie stracić go z oczu. Nie potrzebował śledzić go dłużej, bo wjechawszy do miasta, Anglik udał się wprost do hotelu *pod Sokołem*.

„Wybornie, pomyślał Franciszek, znam jednego ze służących, łatwo więc dowiem się nazwiska tego jegomości.“

Zajechał do innego zajazdu i tam zostawił konia, następnie piechotą poszedł do hotelu *pod Sokołem*. Czas jakiś przechadzał się przed nim tam i napowrót, a każdym razem spoglądał bacznie w bramę i na dziedziniec: zobaczył go niebawem służący którego właśnie szukał.

— A! Franciszek! zawołał, jakże się masz?

— Dobrze, a ty?

— Niezgorzej... ale nie szczególnie mi idzie... człowiek rzadko grosz zobaczy.

— Nie wielu macie cudzoziemców?

— Bardzo mało. . nie ma prawie nikogo...

— Widziałem jednak przed chwilą wchodzącego tu jakiegoś Anglika.

— Tak, ale też to jeden i jedyny... Przyjechał w jesieni i bawi tu dotąd, ale nie ciągle, wyjeżdża i wraca.

— Czy to ten wysoki blondyn co ma tak pięknego karo-gniadego konia?

— Ten sam... Więc znasz sir Tomasza Norwich?

— Z widzenia. Jak to go nazwałeś?

— Sir Tomasz Norwich.

Franciszek tego tylko pragnął: z obawy aby nie zapomniał nazwiska, pożegnał co prędzej służącego, pobiegł do swego zajazdu a idąc powtarzał sobie ciągle:

„Sir Tomasz Norwich.“

Minąwszy ulicę, wyjął z kieszeni pugilares, zapisał nazwisko Anglika i poszedł zjeść śniadanie. Jedząc myślał jak ma postąpić w tej okoliczności, ale nareszcie przypomniał sobie że odebrał najwyraźniejsze rozkazy. Po śniadaniu zażądał papieru i pióra; napisał list do pana i zaadresował „poste restante w Wenecyi.“ Opisał całe zdarzenie z najdrobniejszemi szczegółami, jak odkrył zamieszkanie i nazwisko nieznajomego, prosząc zarazem o zawiadomienie jak ma postąpić w razie gdyby zdarzenie to powtarzało się jeszcze!

XI.

Ilekroć hrabia Cipriano już czas jakiś bawił w jakim mieście, zazwyczaj zaczynał nudzić się śmiertelnie. To też i pobyt w Wenecyi stawał mu się już nieznośnym; nie chciał jednak jej opuszczać zanim raz skończy z nieszczęsnem swojem małżeństwem, czekając tylko sposobności aby mógł zrucić z siebie to ciężkie jarzmo. Mała odległość dzieląca Wenecyę od Mediolanu, dozwalała mu zjechać tam w każdej chwili, a sądził że nie będzie czekać na nią długo, będąc niemal pewnym że nim zima upłynie, baron Montferrano rozpocznie kroki procesowe. Liczył na to że baronowa wynajdzie jaki kruczek przecinający ten węzeł gordyjski, aby wyzwolić swoją pupilkę z jej lodowatej samotni.

Sara podniecała go ciągle aby nie czekał bezczynnie, przepowiadając mu że nie miną go nieskończone przykrości i kłopoty, dopókąd nie uwolni się od tej dziewczyny, noszącej miano opuszczonej żony. Powtarzała mu że zemsta kobieca bywa straszną, że pojawia się niespodzianie ale godzi na pewno, i że prędzej czy później może być pewnym jakiejś katastrofy, dającej mu uczuć że nosi tytuł męża. Nie szczędziła mu szyderstw i sarkazmów podniecała rozdrażnienie, dowodząc że sir Norwich nie jest jednym z tych ludzi co to czekają z założonemi rękami, i że niezawodnie musiał już obmyśléć nieomylne środki wykonania wygłoszonych w klubie zapewnień.

„Skoro postanowił koniecznie zbałamucić jedną z nas a nie ma go w Wenecyi, jasny dowód że się zaleca opuszczonej żonie... Gdyby chciał probować mnie się podobać, byłby tu już dawno.

— Może gniewa cię to że go tu nie ma? odpowiadał opryskliwie hrabia Cipriano.

— Ma się rozumieć — i bardzo nawet.

Cipriano spojrzał na nią piorunującym wzrokiem.

— Gniewa mnie to bardzo, mówiła dalej, bo gdyby był tu przegrałby najniezawodniej, i nie posiadł żadnej z nas.

Uspokojony tem hrabia odpowiadał:

„Zastanowiwszy się głębiej i rozważywszy zimno, głowę dałbym w zakład że z Bertą nic nie wskóra.

— A! biedni ci mężowie!... wszyscy podobni do siebie jak dwie krople wody!... mówiła Sara głośnym parsknąwszy śmiechem a hrabia przygryzł usta aż do krwi.

Odebrawszy list Franciszka, z początku był niesłychanie zły i zdziwiony, ale po namyśle prawie się ucieszył; nic jednak nie powiedział o tem Sarze, która nie omieszkałaby chełpić się ze swej przenikliwości.

— A! przynajmniej raz się to skończy, myślał; jednak nie bez goryczy mówił sobie: No! jednak nigdy nie byłbym się spodziewał podobnego zakończenia!... Wielka to prawda, straszne są kobiety... są one jak owe węże z połyskującą srebrną łuską... biada temu kto na nie nastąpi!... Jest to zemsta podwójna... a! Berta i sir Norwich drogo ją przypłacą!...

Powiedział Sarze iż jedzie do Mediolanu aby postanowić coś na przyszłość, znudziła go już Wenecya i zamierza wybrać się w podróż, szukać nowych uciech i nowych rozkoszy pod nowym klimatem.

Sara pochwaliła bardzo to postanowienie, i ona także pragnęła nowych zabaw, a szczególniej cieszyła ją sama myśl powrotu do swego ukochanego Paryża. Przyrzekła mu czekać na niego cierpliwie, radziła nawet aby nie śpieszył się zbytecznie i nic nie zostawiał w zawieszeniu, ale zajął się jak najenergiczniej stanowczem zerwaniem krępującego jarzma, i wolny od niego mógł jak najprędzej opuścić Wenecyę.

Pojechał wię do Mediolanu i tam przez dwa dni zamknął się w mieszkaniu, nie wychodząc zupełnie, nie dając znać o sobie nikomu z krewnych ani przyjaciół, zajęty jedynie obmyśleniem swej zemsty.

Postanowił wyzwać sir Tomasza Norwich, aby zasycić nienawiść jaką tchnął dla tego człowieka, będącego przyczyną samobójstwa jego kochanki i jego nierozważnego małżeństwa, a który nadto poważył się znieważać go przez wygłaszane w klubie zamiary.

Cipriano mówił sobie: Jeźli mnie zabije. to widać takie przeznaczenie moje, a przynajmniej pomszczę wyrządzoną mi obelgę i przekonam że nie zbywa mi na odwadze. Jeźli zranię Anglika, będzie miał naukę aby nie mieszał się w moje sprawy— a jeźli go zabiję, będę pomszczony... opuszczę Włochy, Sara przyjedzie do mnie do Szwajcaryi, skąd udamy się do Paryża. Przez ten czas, adwokat mój przedstawi moje tytuły do żądania unieważnienia małżeństwa... W razie gdybym został raniony, każę się przenieść do villi Hortensia, a obecność moja zniewoli do opuszczenia jej kobietę która shańbiła moje nazwisko i była przyczyną rozlewu krwi... Sara przyjedzie mnie doglądać, a jak tylko wyleczę się, opuścimy Włochy.“

Z tymi zamiarami udał się do Monza i stanął w hotelu *pod Aniołem* aby nie być pod jednym dachem ze swym przeciwnikiem; wyszukał jakiegoś przyjaciela który zgodził się chętnie służyć mu za sekundanta. Za powód pojedynku podał mu oświadczenia wygłaszane w klubie przez sir Norwich'a, zamilczając o odkryciu Franciszka aby nie okryć się śmiesznością. Ponieważ potrzeba było drugiego świadka, wyszli razem na miasto aby go wyszukać, gdy w tem spostrzegli z daleka sir Tomasza, nadchodzącego ku nim, w towarzystwie jakiegoś pana. Zobaczywszy Anglika, Cipriano poczerwieniał; zdało mu się że tenże patrzy na niego z tryumfującą miną i uśmiecha się szydersko. Dżentelman miał na nogach wysokie buty, na głowie kapelusz z wielkiem rondem, w jednej ręce szpicrutę, w drugiej cygaro. Śmiał się wesoło pobrzękując ostrogami, i zdawał się tak uradowany, jakby świat cały do niego należał.

— Poznał mnie... i znieważa mnie!... zawołał Cipriano zwracając się do przyjaciela.

— Nie zdaje mi się, odrzekł tenże, jest to człowiek bardzo dobrze wychowany.

Uwaga ta, zamiast uspokoić, rozgniewała jeszcze hrabiego; krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu się zaćmiło. Przyjaciel chciał skręcić w inną stronę, brabia uparł się iść naprzeciw Anglika. Gdy już zbliżali się do siebie, sir Norwich, nie zwracając wcale uwagi na to co się w koło niego działo, tak bardzo zajęty był rozmową, rozśmieszony jakimś dowcipnym żartem towarzysza, zatrzymał się nagle i głośnym parsknął śmiechem. Tego już tylko brakowało! Cipriano pewny był że śmiech ten do niego się odnosi, i szalonym uniósł się gniewem. Nie umiejąc zapanować nad sobą, wpatrzył się w Anglika wzrokiem napiętnowanym nieubłaganą nienawiścią, i podniósł rękę chcąc go w twarz uderzyć.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 4.

(Dokończenie).

N. 30—34. Ubranie balowe.

N. 30. Suknia z upięciem à panier.

Spódnica z kolorowej jedwabnej materyi zakończona u dołu dwoma zachodzącemi na siebie plisowanemi falbanami, ma bryt przedni i boki przysłonięte drobnemi bufkami z illuzyi. Na tylny bryt sukni spada draperja idąca w dalszym ciągu od pleców stanika; zbywająca szerokość bryta zakłada się pod baskiną w fałdę. Części panier zakończone wypustką, przyszyte szwem odwracanym do przodów stanika, z tyłu są sfałdowane i zachodzą pod draperyę, oszytą na około brzegów plisowaniem 6 cent. szerokiem.

Na staniku wyciętym kwadratowo dane przybranie z białej koronki.

N. 31. Suknia ze stanikiem do paska.

Odpowiednia dla młodej osoby, odrobiona z białego tarlatanu i gazy jedwabnej przerabianej srebrem i suto przystrojona gałązkami i bukietami z niezapominajek. Spódnica nie sięgająca ziemi szyje się z tiulu, na niej dopiero naszywa się u dołu dwa rzędy plisowania z tarlatanu po 7 cent: szerokiego i bufę 13 cent: szeroką. Środkiem przodu dane poprzeczne fałdowanie z gazy jedwabnej, 70 cent. długie, 35 u dołu szerokie, z boków przyszyte riuszami; bryty boczne są z bufowanego tarlatanu, części panier schodzące się z sobą z przodu w zdłuż na 17 cent. i upięcie na tylnym brycie sukni dane z gazy, oszyte 1 cent. szeroką wypustką z niebieskiego atłasu i plisowaniem 4 cent. szerokiem. Przy staniku berta z bufek i riuszy suto przybrana rulonikami z atłasu i niezapominajkami; pasek atłasowy 4 cent. szeroki.

N. 32—33. Suknia z bawetowym stanikiem.

Przy białej tarlatanowej sukni, przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 32 i 33, szeroka koronka stanowiąca przybranie podwleczona jest niebieskim atłasem. Spódnica nie dochodząca do ziemi jest suto zagarnirowana wąziutkiemi plisowanemi falbankami przedzielonemi raz szeroką plisą atłasową, zakończoną riuszą. Po nad falbankami z przodu i z boków dane poprzeczne bufowanie, oszyte koronką podwleczoną atłasem, z przodu podpięte na kształt panier; z tyłu dane lekkie upięcie z prostego bryta tarlatanu, przepięte fantazyjnie atłasem i koronką. Stanik bawetowy urządzony do sznurowania z tyłu, ma z tyłu i z przodu wstawione części atłasowe, odznaczone z brzegów naszyciem z koronki; górny wykrój zakończa zręcznie przewinięta plisa atłasowa 6 cent. szeroka; kokardy z wstążki 8 cent. szerokiej.

N. 34. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Wykończona z żółtego tarlatanu i takiegoż atłasu, ozdobiona bukietami z ciemno ponsowych aksamitnych liści i kwiatów. Spodnica zakończona wolantem 10 centymetrów szerokim ułożonym w kontrafałdy, na który zachodzi plisowanie 11 cent. szerokie. Bufy przykrywające bryt przedni, przepinane bukietami; po nadtem naszyte są w dwa zęby, falbanki plisowane po 5 cent. szerokie, przyszyte u góry riuszą. Z tyłu dane lekkie wpięcie z prostego bryta. Bluzka na podszewce uszyta formą stanikową ozdobiona atłasowemi bretelkami przemarszczonemi kilkakrotnie u dołu, między któremi dane drobniutkie falbaneczki; na ramionach atłasowe kokardy.

N. 40—41. Futerał na grzebyk. Malowanie na drzewie.

Rycina 41 podaje w naturalnej wielkości deseń, który maluje się z obydwóch stron futerału z białego drzewa. Tło prócz wązkiej linii brzeżnej powleczone jest tuszem chińskim deseń zaś malowany sepją, farbą blado niebieską i zieloną; cienie i żyłki dodają się tuszem. Po skończeniu pociąga się bezbarwnym lakierem.

N. 42—46. Serweta na stół, wyszyta ściegiem jednakowym na obie strony.

Przedstawiona w maleńkim formacie na ryc. 46 liczy 175 cent. długości a 88 szerokości i zakończona jest szeroką frendzlą wiązaną. Tło stanowi grube płótno lub kanwa jasna a deseń wyszywa się ponsową bawełną; ryc. 45 załącza deseń narożnika, z boków którego wyszyte są figury przedstawione na ryc. 44; szlaczek powtarzający się w równych odstępach wzdłuż, środkiem serwety można wyszyć podług ryc. 42—43.

N. 47—48. Podwiązka szydełkowa z elastyką.

Odrobiona z nici szarych N. 30, zaczyna się poprzecznie na 15 o. na których przerabia się trzy rzędy ściegiem prostym w prążki, dalej 2 cent. 11 o. pow. i znów 2 cnt. stanowiące podstawę pod drugi pasek roboty ścisłej, zakończenie brzeżne i sposób roboty wskazuje ryc. 48 w naturalnej wielkości. Po skończeniu podwiązka przewłóczy się elastyką kolorową i ozdabia kokardą.



N. 1. Ubranie spacerowe dla dziewczynki lat 5—6. Patrz plecy na ryc. 27 w N. 6. Krój Nr IV, Fig. 16—22.

N. 2. Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Tył płaszczyka i kroj Nr IX, Fig. 35—39.

N. 3. Ubranie salonowe z krótkim trenem.

N. 50—51. Ubranie dla panienki lat 12—15. Patrz ryc. 57 w N-rze 3.

Spódnicę zdobi z przodu 5 z tyłu 3 falbanki, po 10 cent. szerokie przemarszczone kilkakrotnie. Vêtement z przodu podpięte à panier, dopasować trzeba podług małego formatu kroju jaki daliśmy w N-rze 3 na ryc. 57. Zapięcie na guziki dane wzdłuż na 47 cent. poniżej pozostająca długość (91 cent. do gwiazdki) podpina się w kilka fałd kokardą. Boczek krajany w jednym ciągu z przodami, zszywa się z przodami gładko na 32 cent. dalej zaś marszczy drobno do 16 cent. długości i łączy z plecami podpiętemi podług znaków. Sukienka była odrobiona z bronzowego repsu przybrana aksamitem w paski, kokardy z wstążki 5 cent szerokiej.

Opis do N-ru 5.

N. 1. Ubranie spacerowe z vêtement paletocikowem dla dziewczynki lat 5—7. Plecy patrz ryc 27 w N. 6. Krój N. IV. Fig. 16—22.

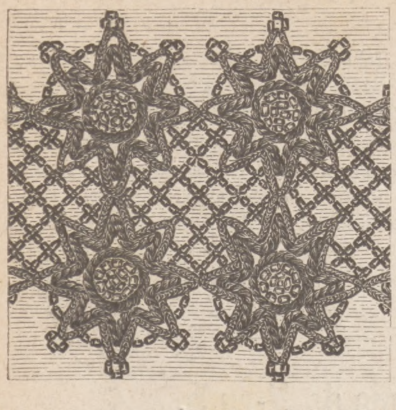
Ubranie to składa się ze spódniczki z 16 cent. szerokim garnirunkiem plisowanym, fałdowanym lub innym, z długiej w zakładki ułożonej kamizelki i z vêtement paletocikowego u dołu z przodu otwartego. Na Fig. 16 dajemy formę kamizelki z oznaczeniem ile trzeba naddać materyału na fałdy. Kamizelkę z tureckiego materyału robi się na gładkiej płóciennej podszewce którą zeszywa się razem z przodami paletocika. Dolny wykrój kamizelki wskazany na ryc. 1. Ranwers przyszywa się do paletocika od gwiazdki do *i*, kołnierz od *k* do *l*; pod te części zarówno jak pod wysokie mankiety i kieszonki 11 cent. długie a 16 szerkie, daje się sztywną muślinową podszewkę. Model do ryc. 1 był odrobiony z materyału gładkiego i w deseń turecki, a do ryc. 27 z ciemnego wełnianego materyału gładkiego i w kratę. Paletocik naszyty kilka razy pletnią wełnianą.

N. 2. Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Krój i widok pleców na arkuszu z krojami N. IX, Fig. 35—39.

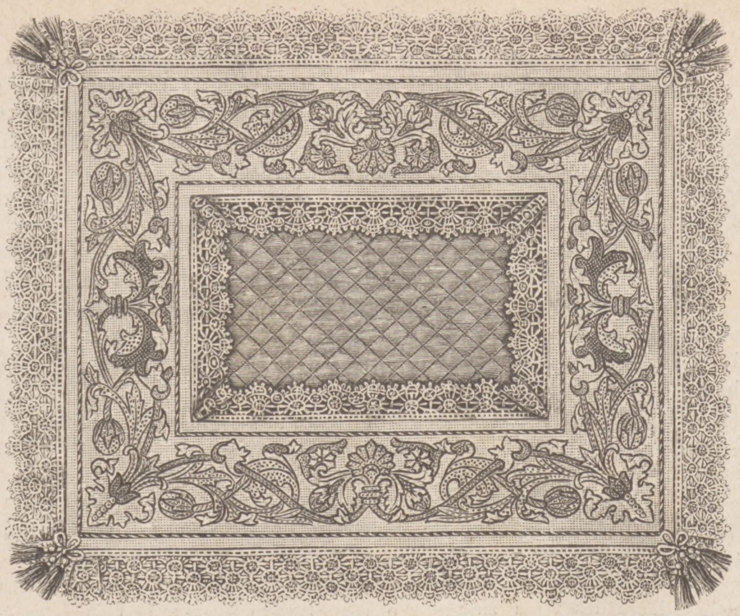
Płaszczyk z grubego double w prążki, okładany jest pluszem krepowanym ciętym prosto, mającym z przodu 10 — 12, u dołu 16 a przy rękawach 14 cent. szerokości. Duży, wykładany kołnierz pluszowy robi się oddzielnie, a następnie od *I* do punktu przyszywa do paska przy wykroju płaszczyka trzeba podług miary od dołu dopełnić, a plecy krajać w jednym ciągu podług zestawionej razem Fig. 36 A i 36 B, tę ostatnią jeszcze podług miary u dołu przedłużyć. Zmniejszony rysunek płaszczyka Fig. 35 do 39 przedstawia wykończone i zestawione razem części płaszczyka. Najpierw zeszywa się przody z plecami od *A* do dołu, ramiona od *B* do *C* następnie przyszywa się górną część rękawa do przodów od *C* do *D*, części przodów od *D* do *A* obejmuje się listewką, spody rękawów zeszywa się z wierzchami od *D* do *E* i od *A* do *F*. Nakoniec wykrój szyi naszywa się w wązki pasek Fig. 38; do zwierzchniej połowy przodów daje się od spodu listewkę z obrobionemi dziurkami, do zapinania na kryte guziki; brzegi rękawów i przodow podszywa się 11 cent. szeroką listewką z materyi, a szwy wszystkie wązką wstążeczką.

N. 3. Suknia z krótkim trenem.

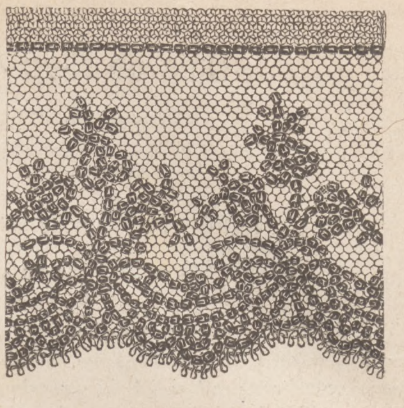
Stanik z długą baskiną i panier odrobiony był z ciemno szafirowego aksamitu w poprzeczne paski, spódnica cała pofałdowana z atłasu takiegoż koloru. Z tyłu dodana draperya prosta, ozdobiona ranwersami aksamitnemi. Przody stanika podług ryciny 12 w N-rze 1 Tygodnika Mód.



N. 4. Pasmanterya ze sznurka jedwabnego i perełek.



N. 6. Prześcieradło przypinane na guziki do kołderki dziecinnej.



N. 5. Koronka do kapelusza ryc. 16, wyszyta perełkami na tiulu.

N. 6. Kołderka dziecinna z haftowanem na guziczki przypiętem prześcieradłem. Deseń na arkuszu z formami Fig. 64.

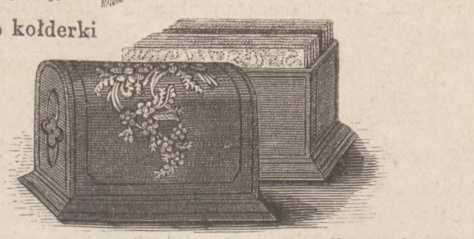
Jedwabną pikowaną kołderkę zdobi szeroko wyłożone, cienkie płócienne prześcieradło, haftowane kolorową prawdziwą turecką bawełną. Kontury obrabia się ściegiem sznureczkowym, a środki figur zapełnia się ściegami wskazanemi na deseniu. Brzegi wyłożenia oszyte ładną nicianą koronką.



N. 7. Torebka na robotę, ozdobiona haftem sznureczkowym.



N. 8. Przyrząd do zapalania i ucinania końcy cygar.



N. 9 — 10. Pudełko na karty, ozdobione haftem płaskim.

N. 7, 23 i 24. Torebka na robotę, ozdobiona pasami haftowanemi lub wyszytemi na kanwie.

Kawałek tektury 23 cent. szeroki a 34 wysoki, w jednym z poprzecznych brzegów skośnie w rogach ścięty i wywinięty na klapkę 9 cent. szeroką, pokrywa się z obydwóch stron płótnem lub materyą szarą zdobi trzema pasami haftowanemi jedwabiem bronzowym do cieniu, których deseń podaje ryc. 23. Rycina 24 przedstawia deseń do wyszycia ściegiem gobelinowym, na kanwie. Z boków wszyte są w torebkę suflety z podwójnego płótna lub materyi, 11 cent. wysokie, 10 szerokie, u dołu zaokrąglone i przymarszczone, w górze na elastykę ściągnięte. Brzegi oszyte sza-

rą koronką wywodzoną jedwabiem, do zapięcia guziczki i pentelki. Ucho stanowią sznury jedwabne z kwastami.

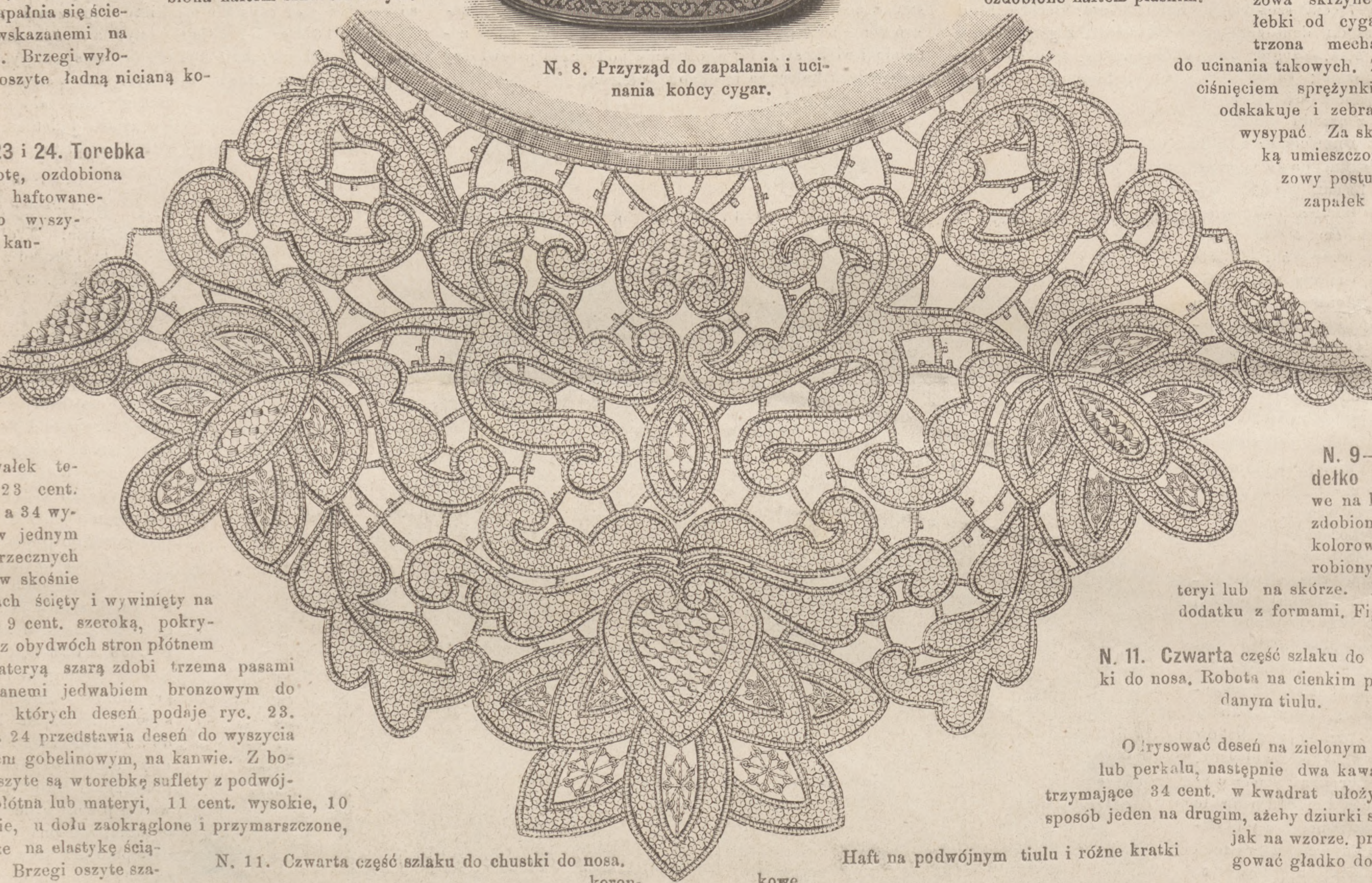
N. 8. Przyrząd do zapalania i obcinania końcy cygar.

Na owalnym, drewnianym postumencie, ozdobionym szlaczkiem roboty krzyżowej, umieszczona jest bronzowa skrzyneczka na łebki od cygar, opatrzona mechanizmem do ucinania takowych. Za przyciśnięciem sprężynki wieko odskakuje i zebrane łebki wysypać. Za skrzyneczką umieszczony bronzowy postument do zapałek

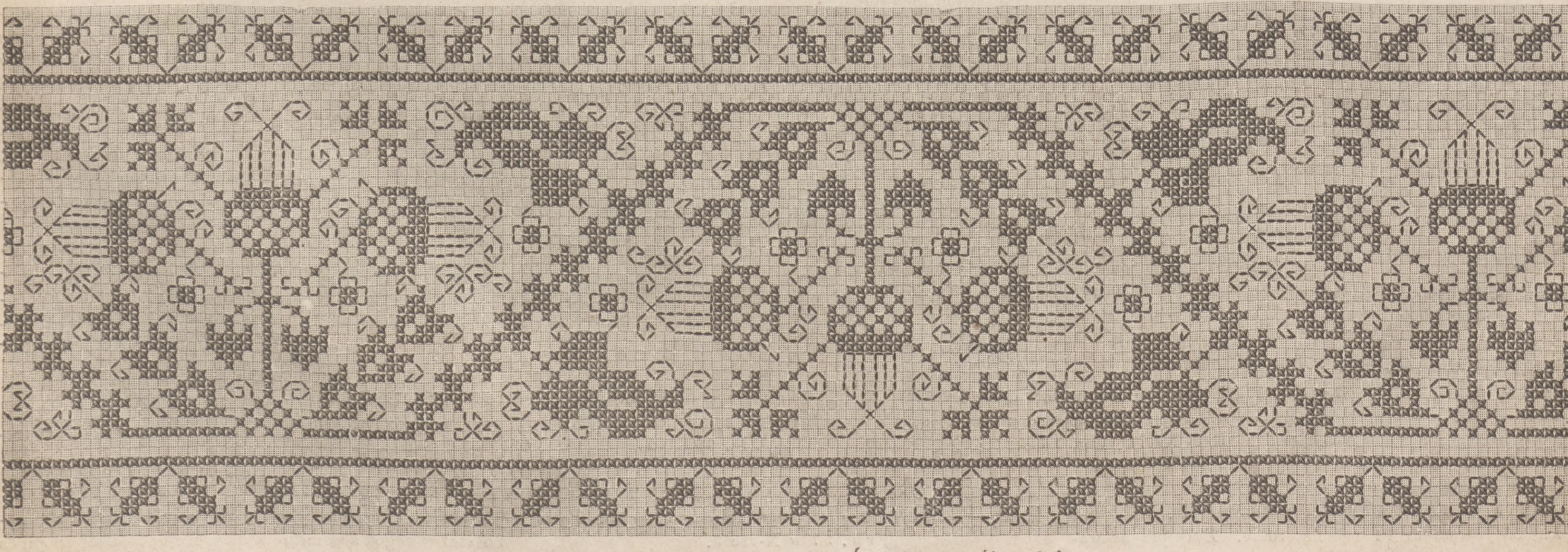
N. 9—10. Pudełko tekturowe na karty, ozdobione haftem kolorowym odrobionym na materyi lub na skórze. Deseń na dodatku z formami. Fig. 65.

N. 11. Czwarta część szlaku do chustczki do nosa. Robota na cienkim podwójnie danym tiulu.

Obrysować deseń na zielonym papierze lub perkalu, następnie dwa kawałki tiulu trzymające 34 cent. w kwadrat ułożyć w ten sposób jeden na drugim, ażeby dziurki się mijały jak na wzorze, przyfastrygować gładko do deseniu,



N. 11. Czwarta część szlaku do chustki do nosa. Haft na podwójnym tiulu i różne kratki koronkowe.



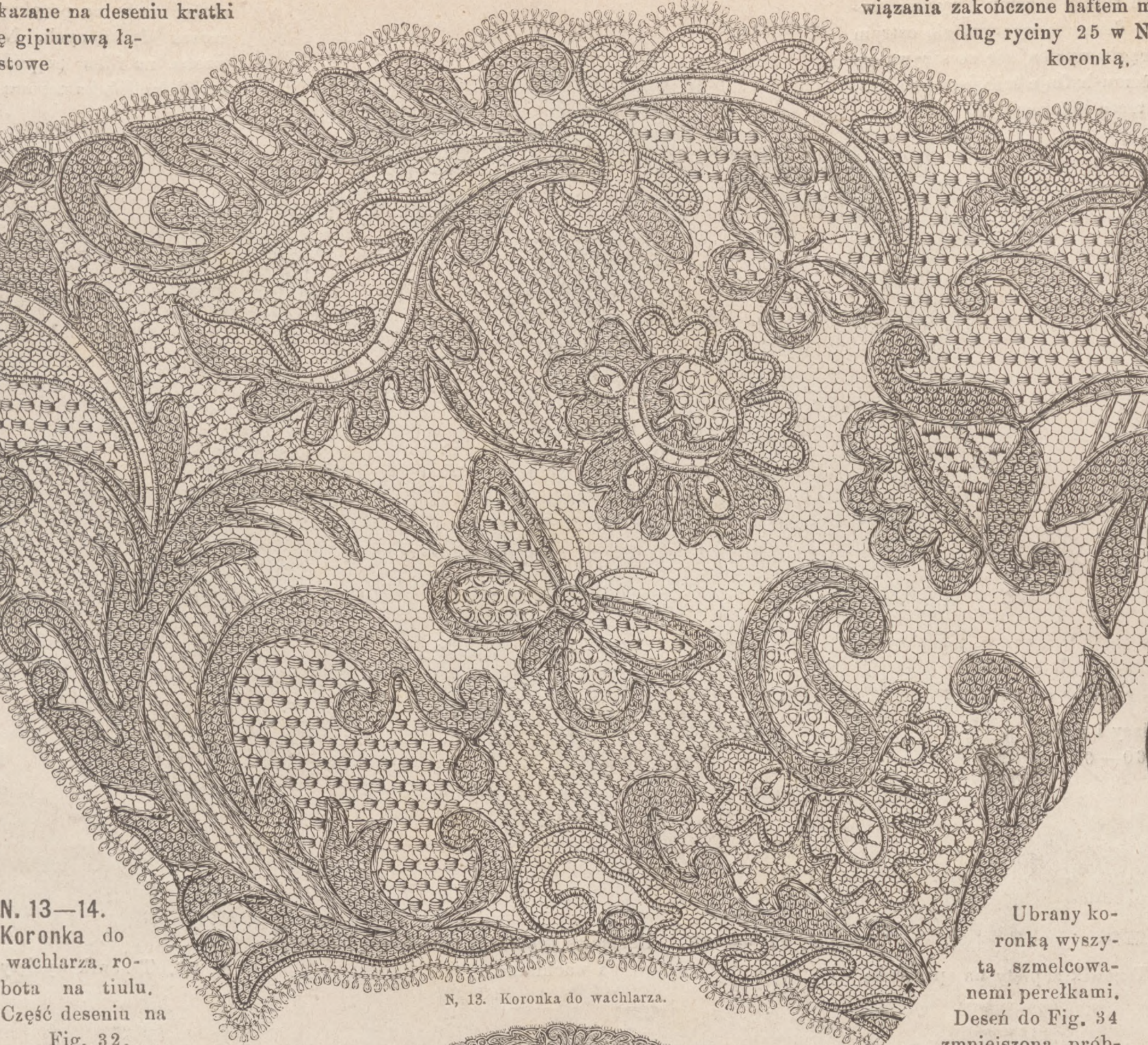
N. 12. Szlak do firanek, rolet i serwet. Ścieg krzyżowy i na dwie strony.

wywieść i kontury odziergać gęsto, ażeby po wycięciu tiul się nie wysuwał. Różne wskazane na deseniu kratki robić nićmi koronkowemi, kratkę gipiurową łączącą figury dziergać. Tło batystowe umocować przydzierganą tasiemeczką koronkową.

strony ubranie z mchu i róż ciemno ponsowych, z drugiej

upięcie z bufowanego atłasu bordo. Szerokie wstążki do wiązania zakończone haftem maurytańskim, robionym podług ryciny 25 w N-rze 1, oszytym plisowaną koronką.

N.16 Kapelusz czarny aksamitny.



N. 13. Koronka do wachlarza.



N. 13—14. Koronka do wachlarza, robota na tiulu. Część deseniu na Fig. 32.

Złączywszy podług oznaczenia krzyżykiem i punktem, deseń podany na ryc. 13 i na Fig. 32 mieć będziemy większą połowę całego deseniu, któren w odwrotnym kierunku dopełnić trzeba podług ryc. 14. Na podwójnym brukselskim tiulu, cały deseń wywodzi się płaskiemi, świecącemi nićmi; następnie wskazane na ryc. 13 części, odziergać nićmi koronkowemi, które służą także do cerowania i roboty kratek. Z pod tych ostatnich i z pod tła wyciąć ostrożnie od spodu jedno podłożenie tiulu, a brzegi koronki zakończyć przydzierganemi pikotami fabrycznemi.

N. 15. Kapelusz z filcu piaskowego. Patrz ryc. 25 N-rze 1.

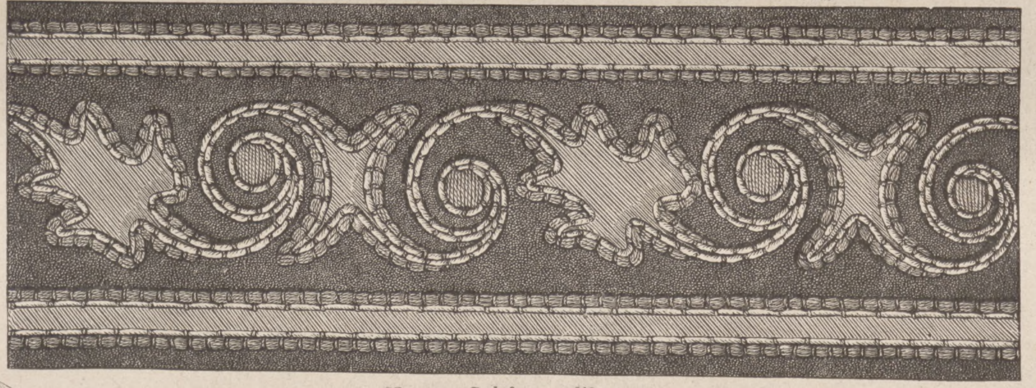


N. 14. Zmniejszona całakoronka do wachlarza.



Ubrany koronką wyszytą szmelcowanemi perełkami. Deseń do Fig. 34 zmniejszona próbka koronki ryc. 5. Na szerokie rondo kapelusza wywinięta jest gładko koronka, wyszyta na czarnym tiulu, szmelcowanemi perełkami. Obrąbek górny przyszyty rzędem perełek, zęby deseniu zakończone fabrycznemi pikotami. Ubranie z piór i fantazyjnych kwiatów.

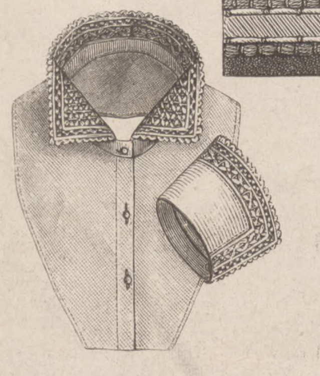
N. 16. Kapelusz czarny aksamitny. Patrz ryc. 5 w N-rze 1.



N. 17. Szlak z aplikacyą.

N. 17, Szlak. Robota z aplikacją.

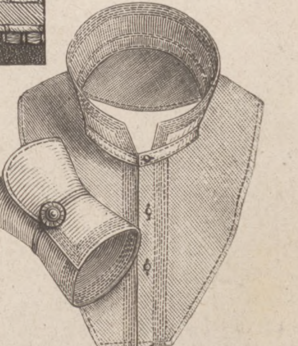
Szlak taki służyć może do rozmaitych przedmiotów, model miał tło purpurowe aksamitne a aplikacją z atłasu słomkowego koloru, otoczoną sznurkiem złotym, przyszywanym cienkim jedwabiem złotego koloru. Gałązki wyszyte także sznureczkiem, a figury po za takowym obwiedzione grubą zieloną filozelą, przyszywaną cienkim jedwabiem. Atłas albo ciężki reps jedwabny przeznaczony na aplikacyą, dla lepszej wybitności podkleja się bibułką jedwabną podklejoną od



N. 18-19. Kołnierzyk i mankiet z robotą macramé. Patrz ryc. 21—22 w N-rze 6.

N. 15. Kapelusz z filcu piaskowego koloru.

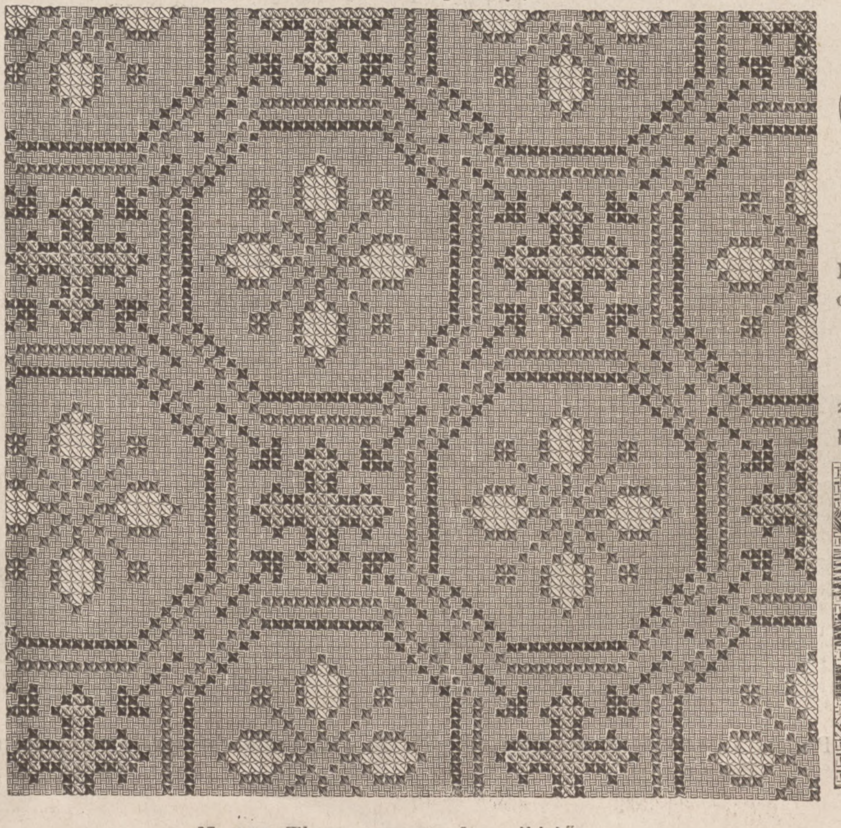
Rondo pódszyte marszczonym aksamitem bordo, któren trochę wystaje z brzegu. Z wierzchu z jednej



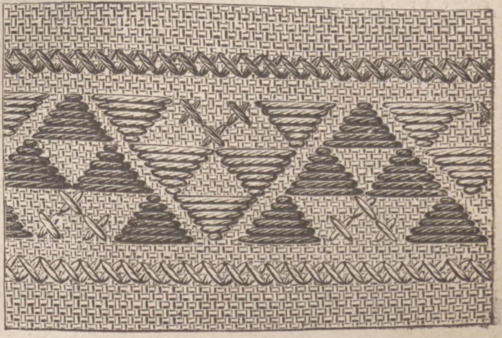
N. 20-21. Kołnierzyk stojący i mankiet. Krój na ark. Nr XIV, Fig. 60—63.



N. 23. Szlak do ryc. 7.



N. 22. Tło na serwety, dywaniki i t. p.



N. 24. Szlak gobelinowy do ryc. 7.

spodu gęstem płótnem; następnie z lewej strony rysują się blisko jedne koło drugich figury deseniu i wycina starannnie, albo na podłożonej deseczce wyrzyna się ostrym scyzorykiem. Muszki okrągłe wycina się ze sztywnego papieru, na takowem podłożeniu haftuje ściegiem płaskim, nitką srebrną, a nakoniec otacza sznureczkiem złotym.



N. 25. Chustka muślinowa.



N. 27 — 36. Rozmaite drobiazgi toaletowe, biżuterye i wachlarze.



N. 26. Chusteczka koronkowa z kołnierzem wykładanym.

N. 20—21. Kołnierzyk stojący i mankiet. Krój N. XIV, Fig. 60—63.

Kołnierzyk stojący i odpowiednie mankiety krają się potrójnie, a za całą ozdobę służy cienki, kilka razy jeden przy drugim wstębnowany woreczek. Takież sznureczki wszyte są z przodu w cienką płócienną szmizetkę, do której kołnierzyk przystębnowanym jest 2 cent. szerokim paskiem.



N. 37. Trzewik zapięty na sprzączkę.

N. 22. Deseń na serwetę dywanik przed łóżko i t. p.

Na serwetki do przykrycia stolików lub na patarafki, deseń taki robić można na kanwie płóciennej, lub kolorowej kanwie jawa, włóczką w 3 kolorach, lub 3 cieniach. Odrobiony na kaszmirze lub cienkiem suknie, służyć może na przykrycie stołów, lub na kołderki do łóżeczek dziecinnych. Na dywaniki przed łóżko robić go trzeba na filcu (z podłożeniem gróbej kanwy), włóczką berlińską lnb kastorową.



N. 38. Trzewik wycięty z przodu.

N. 26. Chusteczka z wykładanym kołnierzem.

Na taką chusteczkę trzeba skośnego kawałka tiulu d'esprit, któren w środku na 50 centymetrów długości, wywija się na podłużnie fałdowany, 4 centym. szeroki wykładany kołnierz. Całą chusteczkę podłużnie sfałdowaną, oszywa się koronką wywodzoną na tiulu, drobno plisowaną a końce przy wcięciu w pasie spięte są broszką.

(d. n).

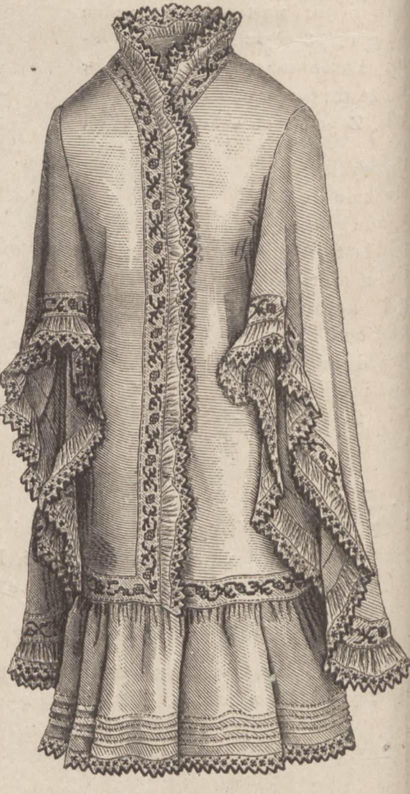


N. 40. Penioar z prosto ściętemi rękawami. Patrz ryc. 39. Krój na ark. Nr II, Fig. 5—8.



N. 39. Penioar z prosto ściętemi rękawami. Patrz ryc. 40.

N. 41. Penioar z szerokiemi okrągłemi rękawami. Patrz ryc. 42.



N. 42. Penioar z szerokiemi okrągłemi rękawami. Krój na arkuszu Nr I, Fig. 1 — 4. Patrz ryc. 41.



Pl. 419.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.